Nr. 26 (1174). Warszawa, dnia 14 (27) Czerwca 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szanow. Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy zbliżający się termin przedpłaty.

POLITYKA.

Wybory w Niemczech.

Walka stronnictw pomiędzy sobą i z rządem, wyznaczona na dzień 16 czerwca, wszystkim przyniosła rozczarowanie, z wyjątkiem tylko Polaków w dzielnicach rozbiorowych, i socyalistów na całym obszarze Rzeszy niemieckiej, zwłaszcza nad Renem i w Saksonii. Tylko ludność rdzenna i prawowita w Poznańskiem i Prusiech zachodnich nie utraciła nic z tego, co posiadała przed wyborami — 14 pełnomocnictw poselskich; tylko socyaliści, przy drobnej stracie, 3 lub 4 krzeseł w sejmie, mogą z otuchą iść na nowy bój rozstrzygający już o sile rzeczywiście pożądanej w rojowisku społeczno-politycznem i liczebności w samem zgromadzeniu prawodawczem. Obu obozom wściekle zwalczanym przez rząd i stronnictwo zachowawczo-liberalne, możnaby powiedzieć zachowawczo-liberyjne, w dniu wyborów uzupełniających, wyznaczonym na 25 czerwca, przybędą jeszcze nowe mandaty do już zdobytych; oba też pochlubić się mogą przyrostem głosów wyborczych, u pierwszego skromnym, u drugiego — prawdziwie wspaniałym.

Przyrost ten nie jest nigdy wartością martwą, nawet wtedy, gdy mu odpowiada liczba stanowisk zdobytych. Dowodzi on zawsze albo zwiększonej liczby wyznawców danej miary politycznej, albo też spotęgowanej ich gorliwości i sprawności organizacyjnej. Czterdzieści tysięcy głosów polskich więcej, niż w wyborach r. 1898 — ma znaczenie krzepiące w walce z ciemnemi i nieprawemi mocami, które na zagładę żywiołu polskiego czyhają. Wprawdzie trzeba z liczby powyższej strącić stosunkową z rozkładu ogólnej na całą Rzeszę wskutek naturalnego przyrostu ludności, a więc i wyborów; wprawdzie nie mamy jeszcze pewności, czy powstała w ten sposób liczba czysta w całości swej stosować się będzie do krajów zabranych przez Fryderyka II i Fryd. Wilhelma II: w każdym jednak razie, po systematycznem gnębieniu i prześladowaniu przez rząd i wszystkie sfory i zgraje na smyczach i łańcuchach krzyżackiego patryotyzmu trzymane, ludność polska, rdzenna, prawowita, samą już liczbą głosujących dowodzi swej żywotności w oporze i obronie — a swego prawa w życiu dziejowem, które zmieniło tylko dla niej swe warunki, ale nie zmieniło swej istoty. Państwo upadło, ale żyje naród.

Czem głównie, i w której głównie warstwie społecznej żyje? Na to odpowiedź znowu dają same liczby. Żyje ludem i w ludzie wsi, miast i miasteczek. Lud-to wykształca się coraz bardziej w naród, coraz doskonalej staje się jego plazmą odrodczą, zbiornikiem jego egoizmu, tej siły niezbędnej, dającej indywidualizacyę zbiorowościom narodowym, staje się źródliskiem i strażnicą zarazem ideałów i praw wspólnych, a najogólniej — organem tego życia, które jedno tylko na tej ziemi ma prawo nie mieć innego celu przed sobą prócz siebie samego. Gdyby nie lud, o Poznańskiem i Prusiech oglądanych ze strony warstwy historycznej, szlachty, dawno już po nikczemnościach najpierwszych sprzedawczyków, popierających działalność komisyi kolonizacyjnej, tych wspólników i współpracowników Bismarcka, zrozpaczyć by było potrzeba. Lud tylko widokiem swoim, rozwojem i postępowaniem swojem, spędza czarne chmury z widnokręgu przyszłości. O życiu rozstrzyga nie ucisk zewnętrzny, nie ten lub ów systemat, ta lub owa metoda zagłady — ale żywotność samego zagrożonego przez nie organizmu. Kto tylko żyć chce, ten i żyć będzie.

Na Śląsku niezgoda, zawiść, tchórzostwo i pochlebstwo, ciemnota najgorsza, bo niby oświeconych, złączone w takim np. panu Napieralskim z pychą osobistą — sprowadziły klęskę, która może w jednym tylko z czterech okręgów bojowych da się d. 25 b. m. powetować. W każdym razie sam fakt głosowania na własnych kandydatów, Polaków, jest w życiu ludu śląskiego objawem pocieszającym, dowodzącym postępu w świadomości politycznej. Nawet w Westfalii zbiorowość polska odczuła się w swej indywidualności, policzyła się, zszeregowała pod własną chorągwią społeczno-narodową, a toż samo stało się i w Berlinie. Jeżeli stronnictwa radykalne i szczerze wolnomyślne, Freisinnige Vereinigung, znają swój interes, prawdopodobnie jeden z okręgów śląskich dostanie się Polakowi. Zerwanie z centrum niemieckiem jest zupełne, jeżeli za stronę zrywającą uznamy uświadomionych już należycie wyborców polskich. — Dla rządu pruskiego i prusko-niemieckiego jeszcze dolegliwszą od tego zwycięztwa polskiego jest klęska, poniesiona przez wszystkie stronnictwa, nie wyjmując i uczciwie wolnomyślnego, w walce z socyalistami. Dzień 16 czerwca zamienił socyalizm niemiecki w istną potęgę. Od r. 1898 przybyło im 800,000 głosów, a chociaż po strąceniu przyrostu naturalnego

pozostaje tylko 480,000, ta liczba, wzięta w stosunku do ogółu głosujących, daje ogromny już procent przyrostu ideowego, zwłaszcza w tych okręgach, w które godził złotousto-piorunową wymową swoją cesarz Wilhelm — nad Renem. W nowym sejmie zasiądzie około 70 socyalistów, a w nowym narodzie niemieckim trzecia już prawie część głosów oddanych okaże się socyalistyczną. Dwa miliony dziewięć kroć sto tysięcy socyalistów stanęło do urn wyborczych w pamiętnym dniu 16 czerwca 1903 roku.

Dziś a przed 20 laty.

Patrząc na to, co się dzieje w Ks. Poznańskiem, Prusach Zachodnich i na Śląsku pruskim, przekonywamy się, jak proroczemi były słowa, wypowiedziane przed laty w *Prawdzie* przez Aleksandra Świętochowskiego. Usiłował on już wówczas otrzeźwić zaślepionych polityków, wykazując im całą naiwność ich wiary w ojcowską opiekę papiestwa i rzeczywistą wartość przyjaźni z centrum i katolikami niemieckimi.

W roczniku z 1881 r., w nr. 43, czytamy na stronicy 511:

„Gdy ziemia z rąk się wyrywa, przemysł upada, oświata do należytego poziomu się nie wznosi, ludzie tej, co p. Zychliński „wiary w lepsze," wspominając o pielgrzymce do Rzymu, powiadają: „Potrzeba nam było bardzo takiego *posilenia duchowego* (!) wśród posuchy, jaka nas kurczy." Takiego „posilenia duchowego" potrzeba Poznańskiemu?!.. Zaiste, może ono stanowić tylko... ostatnie olejem świętym namaszczenie."

Nr. 45, str. 529: „Polacy pruscy, a zwłaszcza przewodniczący innym poznańczycy, uwiedzeni wywołaną przez prawa majowe niezgodą katolików niemieckich z rządem, sprzęgli swoje sprawy i nadzieje z ich losem i taktyką, jak gdyby Warta i Ren wspólnem płynęły łożyskiem. Złudzenie to trwało lat kilka, a każdy, kto śmiał powątpiewać o jego pożytku, był nawet u nas w Królestwie uważany za potępieńca, usiłującego, nieszczęściem daremnie, sprowadzić na manowce prostą drogą idący naród...

Świat klerykalny zaczadził zupełnie rozumy lichych obrońców narodowości polskiej w Poznańskiem.

...Szyderstwo ustępuje miejsca głębokiemu smutkowi, nie możemy się śmiać, lecz musimy boleć nad ślepotą, tem okropniejszą, że niepoprawną.

Jeżeli przy dotychczasowym stosunku stronnictw w sejmie niemieckim, w którym *środek* przeważał wahające się szale, związek z tą zakapturzoną, obłudną partyą krył dla poznańczyków poważne niebezpieczeństwo, to obecna przemiana układu żywiołów politycznych, wzmacniająca siłę postępowych, potęguje obawy i oderwać winna sympatye polskie od dawnego przymierza."

Nr. 46, str. 541: „Nie apostołujemy tu bezwzględnego rozbratu z tem potężnem stronnictwem (centrum), które również Polakom przydać się może; sądzimy jednak, że dziś „mądrzy po szkodzie" nie powinniby przysięgać na wierność p. Windhorstowi i jego rzeszy. Bo gdy ks. Bismarck do niej się uśmiechnie i ustępstwem drobnem obdarzy, jego dotychczasowi przeciwnicy staną się zapamiętałymi przyjaciółmi, a swych niepotrzebnych sprzymierzeńców odprawią z niezbyt zaszczytnym kwitkiem zasługi w opieraniu się postępowi."

Rok 1882, nr. 41, str. 482: „Dopóki centrum musiało, jak wąż przewijać się między paragrafami ustaw majowych, chętnie pomnażało swą siłę każdym kręgiem, który się do ich ciała przyczepiał. Ale nie potrzeba było zbyt daleko sięgać proroczym wzrokiem, ażeby dostrzedz, że gdy ono doczeka lata, natychmiast się wyłuska ze swego polonizmu. Wspólność wiary bowiem jest słabą spójnią tam, gdzie tyle różnic politycznych i narodowych przecina związek. Zauważyć przytem należy, że ze względu na charakter partyi można słusznie bać się tych „Danaów nawet dary niosących." Przyłączeni do szeregów, którym hetmani Windhorst, mogą z nimi poznańczycy atakować ks. Bismarcka lub odnosić nad nim zwycięztwa; ale naprzód nie będzie to tryumf ich narodowego sztandaru, a powtóre co poczną, gdy sprzymierzona armia, zawarłszy traktat z nieprzyjacielem, odetnie już zbyteczny i do zgody przeszkadzający posiłek?"

Nr. 42, str. 493: „Jak doświadczenie nas przekonywa, księża nie strzegą arki narodowej i nie ratują jej od zniszczenia, gdy innych stróżów zbraknie... poznańczycy zbyt machinalnie powtarzają pacierz za panem Windhorstem i zbyt bezwzględnie położyli całą ufność ratunku w księżach. Trzeba pracę i walkę rozpostrzeć daleko szerzej, na wszystkie zagrożone pola życia polityczno-społecznego i nie redukować jej do jednego posterunku. Dziś księża siłą oporu utrzymują się w charakterze swojskim, ale gdy rząd pruski wywiesi przyjazną im flagę, wielu popłynie pod nią tak, jak w Prusach Zachodnich."

W nr. 44 na str. 517, z powodu wyborów w Poznańskiem czytamy: „Nie należy jednak całej sumy niepowodzeń żywiołu polskiego w poznańskiem przy tego rodzaju operacyach wpisywać na rachunek rządu i sprzymierzonych z nim elementów. Pewna liczba Polaków z obawy stracenia posad głosuje zwykle za kandytatem niemieckim, a w ślady tego niezbyt bohaterskiego szeregu wstąpił pośrednio przy ostatnich nawet przedstawiciel tej sfery, którą poznańczycy zaszczycają stale swą wiarą, nadzieją i miłością" (ks. Bielewicz, prof. religii w gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, który wstrzymał się od głosowania *mimo usilnych próśb* i zapewnień, że *głos jego jest rozstrzygającym*). — Jak widzimy, nic się nie zmieniło, tylko się ku starości nieco nachyliło. W dalszym ciągu tego samego artykułu czytamy jeszcze: — „Jest to stałem naszem przekonaniem, że dotychczasowa apelacya głównie do religijnych uczuć narodu niebezpieczeństw nie zażegna. Trzeba akord wyborczy złożyć z wielu tonów i nie pozwolić w nim jednej nucie klerykalnej głuszyć wszystkich innych; trzeba liczniejszemi pobudkami ożywić poczucie obowiązków obywatelskich; trzeba uświadomić ogółowi liczniej jego interesy narodowe i nie zasłaniać ich osobą „arcypasterza," który za długo utrzymuje się w modzie odezw agitacyjnych."

Rok 1884, nr. 34 str. 398: „Kołu polskiemu w Berlinie jedynie możebny trwalszy sojusz udało się zawrzeć z katolikami. Ale trzeba było tanio oddawać, a drogo opłacać wszelką pomoc! Za wątpliwe współczucie, za możność podniesienia głosu trzeba było narażać siebie i naród cały na wyty-

---

11)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

Okolica stawała się coraz dzikszą. Dolina rzeki węziała. Brzegi zbliżały się i zasnuwały widnokrąg. Zniknęły na wodzie strzeliste, proste „płosy" i rozległe, jasne dale. Nurt żylasty, zestrzelony w jedno koryto, rwał potężnie na zawrotach, szumiał złowrogo na progach, na wielkich głazach toczących się po dnie, o które czepiając kędzierzyły się prądy. Statek piął się ostrożnie z zakrętu w zakręt rzeki, z płosy na płosę, wstępując po nich na górę jak po kryształowych schodach. Piersi holowników czuły coraz dotkliwiej holowany ciężar. Na ścieżce przeważał gruby żwir lub ostre, skaliste szczepy. Czasami stawała się ona tak wązką, że wyglądała jak gzems wątły wypłukany przez fale w twardem urwisku. Czasem brnęli po kostki w wodzie po takim gzemsie, a obok warczały wiry odmętów, ku którym pchała ich nawisła nad głowami opoka. Sznur pólki naprężał się jak struna, statek targany przez wiry drgał lękliwie. Guran oczu nie spuszczał z wody i chudł z niepokoju. Posuwali się naprzód bardzo wolno i co noc stawali na kotwicy u brzegu, gdyż wycieńczeni oryle musieli dłużej wypoczywać.

Zgęstniały mrok nocy również nie pozwalał posuwać się bez przerwy. Bądź co bądź byli już daleko na południu. Sadyb ludzkich nie spotykali nigdzie, ani śladu. Raz tylko spostrzegli człowieka, który płynął na małej tratwie, podobny do kopy siana w kudłatem futrze reniferowem, wywróconem sierścią na zewnątrz. Przed nim stała gotowa do strzału gwintówka, oparta na żelaznych widełkach, a obok tlił się na glinianej polepie mały ogieniek i kipiał zawieszony na drążku imbryk.

— A skąd to bracie? — spytał go Guran.

— Ze świata!

— A dokąd?

— Stąd nie widać!... — odrzekł śmiało myśliwiec, mierząc szkutę oczyma.

— Figura!.. — zauważył znacząco sternik, gdy go już minął. — Pływa na tratwie ale popłynie i bez niej!.. — objaśnił pani Annie.

Innym razem natrafili, aż na trzech takich osobników, leżących na brzegu u ognia, w pobliżu spoczywało małe czółenko dnem wywrócone do góry. Jeden z obdartusów wstał i podszedł ku orylom z pytaniami, ale Guran krzyknął gniewnie, aby holownicy nie zwalniali kroku. Majdaniarz, który przewodniczył tej zmianie wyjął swój kapciuch i rzucił go włóczęgom w milczeniu. Jednocześnie Koźma zjawił się w swej dłubance i płynął długo wzdłuż brzegu, jakby czegoś pilnując. Obdartus machnął ręką i wrócił na miejsce.

Na noclegu oryle rozpalili, jak zwykle, nad brzegiem ogień i obsiedli go, aby w oczekiwaniu wieczerzy pogawędzić oraz pogrzać i rozprostować spracowane członki. Wieczerzę gotowano im od niejakiego czasu zawsze na łodzi; spali też na łodzi, ale gawędzić woleli na lądzie, nieskrępowani niczyją obecnością. Karski nie brał udziału w tych gawędach, gdyż zwykle niezwłocznie odchodził do żony.

— A co, jak się zlękli!? — mówił znacząco Indor. — Aż stary bóbr wylazł ze swej nory... A ja wam mówię, że oni wiozą złoto.

— Czego się mieli lękać! Trzech biedaków. To wcale nie spirtonosi, pytali o sól, i o tytoń... — objaśnił Majdaniarz.

— Albo to trzech mało?! Trzech dobrych za rotę starczy! — gadał Indor, nasuwając czapkę na ucho. Niedaleko stąd dwóch całą barkę ludzi wymordowało. Zmrok był. Podpłynęli w czółenku do szkuty, poprosili sternika, jak i ci, o krajankę chleba. Podał im a włóczęga nie za chleb, lecz za rę-

kanie palcami w Europie, na piekące szyderstwo; to wierne sługi reakcyi! A co czeka poznańczyków, jeżeli ultramontanizm w Niemczech wedrze się na wyżyny wpływów rządowych! Katolicki Meternich i pod względem zapału i talentu przewyższał protestanckiego Falka w tępieniu słowiańskiego żywiołu. Dziś ksiądz opiera się naporowi landrata i inspektora szkolnego, a czy nie straci sił i nie zmieni kierunku działalności, gdy giermanizm pozyska błogosławieństwo włoskie. Czy też członków Koła polskiego w Berlinie nie trapi nieraz myśl, że może w tych upokorzeniach, znoszonych dla kraju, tkwi zarodek trucizny dla tego, co najwięcej kochali..."

A w r. 1886, kiedy pomiędzy Watykanem a rządem pruskim zawarty został konkordat znoszący „ustawy majowe," takie w nr. 20 na stronie 229 czytamy znów słowa:

„Rząd pruski, powracając katolikom odebrane prawa, niektórych (swobody zakładania seminaryów) odmówił Polakom. Zgodził się na to papież — zgodzili się sojusznicy upośledzonych— stronnictwo centrum. „Ojciec św.", ważąc na szalach interesu potęgę Bismarcka i słabość garstki jego ofiar, nie waha się złożyć mu w ofierze „wiernych owieczek," które jak wszystkie owce dla swoich pasterzów, mają dla niego tylko wartość mięsa i wełny. Ze *swego* stanowiska Leon XIII, niebędący już dziś namiestnikiem Chrystusa, ale dyplomatą, postąpił roztropnie, bo Polacy pruscy całą swą liczbą w rachunkach politycznych nie zdołają przeciwważyć jednego kanclerza niemieckiego. Żaden mąż stanu inaczej by nie zrobił — zrobiłby inaczej wyniesiony myślą i uczuciem po nad spekulacye ziemskie apostoł religijny, którym papież nie jest. A centrum? W ciele tem odbija się wiernie duch jego głowy. Jest to również partya czysto polityczna, której w znacznej części pozory religijne służą za maskę. Gdyby ona powodowała się sama sprawiedliwością, musiałaby poprzeć żądanie posłów poznańskich i głosować przeciw wyłączeniu z pod ogólnego prawa ich rodaków; ponieważ zaś ulegała względom taktyki, odstąpiła ich. Dr. Windhorst podziękował opuszczonym za „długi i wytrwały sojusz w walce" i z tem pochwalnem świadectwem połączył nadzieję, że Leon XIII, „obejmujący wszystkich katolików *równą* miłością," wyjedna dla Polaków równouprawnienie. Pozwólmy onę nadzieję snuć tym, których ona karmić może i zastanówmy się nad wymownym rezultatem dotychczasowej polityki Koła polskiego w Berlinie.

Opierało się ono jednym bokiem o papieża, a drugim o katolików niemieckich. Nagle obaj sojusznicy odbiegli, wcisnąwszy chwiejącemu się dwa kwitki miłości i sympatyi. Jaki stąd wniosek? Chyba ten tylko, że owe podpory były bardzo zawodne i nietrwałe, że obrona zagrożonego bytu narodowego przez sztuczne związki i religię nie może być jedyną regułą polityczną w Poznańskiem. Jeśli bowiem obliczymy jej rezultaty, wypadną nam same straty bez żadnej korzyści."

Na tem przerywamy przytoczenia. I tych dosyć, ażeby czytelnika przekonać z jakiem jasnowidzeniem wzrok autora patrzał w przyszłość. Wszystko co przepowiadał już się spełniło, a niejedno w obecnej chwili się staje.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Niebo nad Serbią zaczyna się zachmurzać. Uznanie przez Rosyę i Austryę jest wprawdzie niewątpliwem: ale telegram ces. austryackiego do ks. Piotra Karadżordżewicza i nota wysoce urzędowa dziennika *Prawit. Wiestnika* wyraźnie dopominają się ukarania „morderców"; gabinet londyński odwołał swego posła z Białogrodu, holenderski, francuski i turecki poszły w jego ślady; dwory rosyjski, rumuński, hiszpański i holenderski przywdziały grubą żałobę po zgładzonej parze królewskiej — i wogóle podnosi się przeciwko nowemu porządkowi rzeczy wicher, w którym pod zwierzchnim wiewem oburzenia etyeznego kryje się monarchiczny legitymizm. Wybór Piotra I, nie jest tedy wolnym od niebezpieczeństw interwencyi i współzawodnictwa, a odpowiedź dana przez nowego króla deputacyi, zawiadamiającej o wyborze, pogłębia jeszcze niepewność o jutro. Król przybyć ma w pierwszej połowie następnego tygodnia do Białogrodu. Uprzedzając go, skupczyna, działająca na podstawie konstytucyi z d. 19 kwietnia 1901 r., przywróciła ze zmianami konstytucyę pierwotną z roku 1888, a w dziejach nocy z 10 na 11 b. m. nakazała widzieć fakt nieodwołalny, a nie czyn podpadający pod miecz. Pierwsze starcie dyplomatyczne czeka Piotra I o ten stempel wyciśnięty na wypadkach.

Rząd tymczasowy pod Awakumowiczem nie myśli ścierać tego piętna nieodwołalności a zarazem bezkarności; ponieważ zaś król po za obrębem osób rząd ten składających i ich stronnictwa, bardzo licznego w kraju, nie znajdzie doradców poważnych a konstytucyjnych— zaciekawienie więc ostatecznem rozwiązaniem słusznie wzrasta po nad miarę zwykłego zajęcia, tem bardziej, że właśnie jeden z „morderców," Misicz, został komendantem stolicy.

Na Węgrzech Stefanowi Tiszy nie udało się utworzyć gabinetu; niedowierzano mu, lękano się jego mocnej ręki. Król odwołał się do stronnictwa rządzącego; to nie zdołało z siebie wyłonić jakiegoś jedynego a istotnego pełnomocnika. Wola królewska musiała zboczyć na manowce i zwrócić się na tego samego Khuen-Hedervarego, który to swoje powołanie zawdzięczać może chyba tylko srogości na urzędzie bana chorwackiego. Akcye barona, jako kandydata na prezesa ministrów w początku tygodnia stały nieosobliwie.

Nie mają też dotychczas, po dwutygodniowem już przesileniu, nowego rządu ministeryalnego Włochy. Zanardelli nie znalazł nikogo; prawdopodobnie wystąpią Giolitti i Bettolo, a wydziały po nich, spr. wewnętrzne i marynarkę, rozbiorą między siebie sam prezes i minister spr. zagr., Morin.

We Francyi komisya 33-ch do oddzielenia kościoła od państwa 17 głosami oświadczyła się za separacyą. Gdyby tylko Izba usłuchać jej chciała! Nawet radykalni socyalistyczni posłowie zaczynają szemrać na gwałcenie wolności osobistej — przy dzisiejszym anormalnym stosunku nieuniknione.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Dziewiąta fala.

Czytałem razu pewnego prześliczny wiersz Adamowicza p. t. „Dziewiąta fala." A potem stałem godzinami nad morzem i liczyłem je, liczyłem te fale,

---

kę go chwycił, wskoczył na pomost, zgnał sternika nożem i w wodę. Potem za rudel, statek do lądu nawrócił, a tam pięciu już nań czekało. Ci holownicy, co na brzegu byli, uciekli, a zmianę, co w łodzi spała, i gospodarzy wyrżnęli, nim ci zdążyli się ocknąć. Tylko żonę gospodarską zostawili przy życiu, uciechę z nią mieli noc całą, a nad ranem rozdarli ją przez pół i rzucili do wody. Płynęli sobie z początku do odpowiedniego miejsca, poczem towar, wódkę i chleb zrabowali, a statek podpalili i puścili na rzekę. Tak i przepadło! Nie złapali nikogo. Kto jest w stanie złapać tu mądrego człowieka! „Skały," tajga, kamień, wody rozlane wszędzie, topiele... Tu kto chce się schować, to zaszyje się w lasy, jak igła w siano. Tu można żyć bez troski. Tu takich głupich, jak my, mało, coby dyabłu na radość nogi sobie na kamieniach dziurawili, bebechy kupieckie na plecach babom ich na pociechę wleklił..

Indor nasunął czapkę na drugie ucho, potem na tył głowy i spojrzał na słuchaczy. Wydali mu się podnieceni. Żyganom oczy chciwie błyszczały. Niemiec otworzył szeroko swój wroni dziób i uśmiechał się. Wiarus muskał wąsa, Achmet z niedowierzaniem patrzył na opowiadacza.

— Całkym ni paj-mał? — spytał naiwnie.

— Mówię ci, że nie powąchali ich. Niektórzy potem zginęli w innej potrzebie, ale niektórzy i po dziś dzień żyją w powszechnej czci — szacunku. Jeden w Kireńsku za zrabowane pieniądze założył fabrykę fałszywej monety. Dwa domy teraz posiada. Nabożny taki, za wzór go stawiają. Broda siwa, czapka bobrowa—patryarcha. Śmiech mię bierze, gdy go widzę. Znam go, jak zły szeląg. Towarzysze jesteśmy, razem „strzelaliśmy" jałmużnę po wsiach zbierali... A bo to mało przewinęło się przed mojemi oczami... Poginęli. Nie szczędzą też naszego brata, oj! nie szczędzą. A mało to biednych „garbusów" *) przeklęte „czełdony" co rok do Leny spuszczą... Albo i swoich mało to spirtonosi pomordują. Kiedy partya z partyą się spotka, a jedna zdradzi się, że ma złoto... zaraz bitwa... Dawniej, bywało, w tajdze ku jesieni pod każdą kłodą trup leżał... Tu, w tej krainie każda grudka ziemi krwią oblana.... Pamiętam raz...

Znów zaczęła się długa litania okropności. Zgnał, pchnął, ciął, palnął, płatnął... chwycił... zdusił... powtarzało się co wyraz nieledwie. Postaci gwałconych kobiet, konających mężczyzn, trupów pociętych potwornie... przesuwały się przed oczami słuchaczów w wyrazistej opowieści Indora. Włóczęga pomagał sobie gestami i mimiką, udawał rzężenie poderżniętych lub duszonych, drgawki umierających. Następnie opisywał niezwykłe bogactwa zdobyte, szalone powodzenie śmiałków, ich wygody, używanie, wczasy, jedzenie smaczne, trunki wyborne, szczodrość, zbytek i rozpustę.

Podrzędniejsza publiczność płonęła pod wrażeniem opowiadania, ale Majdaniarz palił spokojnie fajkę, a Obuch drapał się w głowę i ziewał.

— Cóż to, nie wołają na wieczerzę? Jak myślisz, Indorze, dlaczego *on* morduje się z nami z własnej ochoty? — spytał niespodzianie Obuch.

— A kto go wie? Zatył się, więc się gzi!.. A może... szpieguje nas!— odburknął z niechęcią włóczęga.

— Oj, ty, ty... Mądrala!.. Słuchając cię, można myśleć, że opływasz w złocie... Tyleś nabrał, a co masz?... Pewnieś zawsze tak celował, żeś w dziurawe brodnie trafiał...

— Cóż, choć nie w złocie, ale w cnocie. A stąd to pochodzi, ojczulku, że towarzyski jestem, że przyjaciół pożądam, że z człowiekiem podzielić lubię i swoje i cudze... nie to co sybirskie niedźwiedzie, co wszystko pod siebie garną!.. Wesołość lubię, gwar, tłum... Oj, wódeczka—mamuleczka, wódeczka! Radość daje — szkoda, że rychło wietrzeje.. — westchnął zabawnie. — Jedyna pociecha, ojczulku, że ty od tego tężejesz, od czego ja chudnę... Wszystko do ciebie niosę, do ciebie, rodzony!..— dokończył już wesoło.

*) Przezwisko włóczęgów sybirskich.

zrazu słabe, jakby lękliwe, ale coraz wyżej wzbierające. Już fala piąta poczyna być groźniejszą, szósta jest znowu słabszą, siódma potrząsa białą grzywą piany, ósma wydyma się jeszcze wyżej a wreszcie dziewiąta rozlewa się szumnie po wybrzeżu, szumnie, zwycięzko. Tak, przesąd marynarzy nie polega na czystem urojeniu. Są fale różnej siły. Morze się także męczy. Po wielkim wylewie następuje wyczerpanie. Poeta Adamowicz dopatrzył się w tem wzbieraniu fal podobieństwa do ruchu pokoleń. Jest to spostrzeżenie niepospolite. Ale jest to spostrzeżenie przedewszystkiem pocieszające. Niesłychane wysiłki ludzkości w ostatniej ćwierci ośmnastego wieku i pierwszej ćwierci wieku dziewiętnastego zmęczyły ją, wyczerpały. Nastał żelazny spokój. W dziedzinie nauki, sztuki, przemysłu, techniki zrobiono wiele, bardzo wiele, prawda, ale jakże duszną była atmosfera! Piersiom brakowało poprostu oddechu. Życie odarte z wszelkich powabów, szara proza, niby zmora, siadła ludzkości na piersi i dusiła ją. Liczę, mierzę — oto były czasowniki, które zapanowały na ustach człowieczych, spędzając takie słowa jak: kocham, wierzę, marzę... Oh, ludzie przestali marzyć! Jednostka została podporządkowana ogółowi. Ty, jednostko, giń, ty nie masz żadnych praw! Prawo ma tylko ogół! Kochajcie ogół!

Tak szeptały wszystkie usta po odpływie wielkiej dziewiątej fali europejskiej. Tak szeptały zbielałe usta u nas. A jednak jakoś w tym czasie poczęły się na wargi zaplątywać takie słowa, jak społeczność, społeczeństwo. I — rzecz dziwna — choć słowa te obejmowały właśnie ogół, krzyknięto, że ci, którzy ich używają, nie mają nic wspólnego z ogółem, są wrogami ogółu. Ale fala już szła. Szła fala jakichś nowych pojęć, nowych uczuć, nowych ludzi. Nagle ktoś począł wołać, że ów bałwochwalczo czczony ogół nie jest bynajmniej ogółem, ale drobną, choć potężną jego cząstką, że on jak Moloch pożera całe gromady ludzkie, pędzone do jego paszczy. Poczyna się nowa walka o prawa człowieka, ale tym razem przybiera wprost formę walki o prawa jednostki. Precz z ogółem, w którym jednostka niema żadnych praw! Idzie nowa fala. Na jej szczycie stoi jakiś Multatuli i obwołuje: „Powołaniem człowieka jest, aby był człowiekiem!“ Ach, człowiekiem! Drgnęły ludzkie gromady i poczuły, że to istotnie nowe hasło. Jakto, nowe? Przecież każdy historyk nam udowodni, że nie jest nowe? Nie, nie udowodni tego. Bo ten, który wywalczył sobie prawa człowieka, przestał nim być, natomiast powstały nowe a niezliczone gromady ludzkie, które nigdy owego słodkiego stanu „być człowiekiem“ nie zaznały. Multatuli z wyżyn fali swego pokolenia woła: „Jawańczykowi dzieje się krzywda! Słyszycie, rodacy? Krzywda mu się dzieje!“ Co? Już się za Jawańczykami ujmują? Na czem się to skończy! Może w końcu pocznie się ujmować za temi 500 wołami, które każdodziennie pożera nasze miasto wy, litościwi, wy filantropomani, mdłe, dusze, marzyciele wielkości łebka od szpilki... Nagle z ust człowieka, którego uznano niemal za warjata, więc tem gorzej, pada okrzyk: „Kochajcie bliźniego swego *więcej* niż siebie samego!“ Hola, skąd ten okrzyk? Na szczycie jakiejś trzeciej czy czwartej fali stoi półobłąkaniec z błędnemi oczami i rozwianym włosem, głosi olbrzymie hasło etyczne. Powstaje zamęt w głowach ludzkich. Jakto? Czy niedość kochać bliźniego, jak siebie samego? Ludzie, którzy ukochali tylko swoje osobiste powodzenie, pienią się z oburzenia. Precz z tym marzycielem, z tym wywrotowcem etycznym, społecznym, religijnym, on nam tumani ogół, mąci porządek! Ale napływają nowe fale. Na szczycie ich nie stoją już jacyś samotnicy, jacyś ludzie obłąkani z walki i trudu niesłychanego, ale stoją całe gromady, wołając: nie mamy nawet takich praw, jak owi Jawańczycy! Czy raczej nas za ogół nie należy uważać? Każda nowa fala rzuca secinę nowych grzmiących pytań, od których drży atmosfera. Powiał nowy wiatr po ludzkich odmętach. Morze ludzkie pracuje znowu. Już zbudziło się ze znużenia, już odpoczęło po wyczerpaniu, już poczuło w sobie nowe siły, wzdyma się, dźwiga do nowych zapasów, walczy, wzbiera, szumi, wre!

Baczny obserwator życia społecznego widzi to. Wstępuje w niego dziwna otucha. On zawsze lękał się tylko jednego, lękał się martwoty. Ciężka rzecz narodzić się i umrzeć w dniu, w którym słońce żadne nie weszło. To, co się w tej chwili dzieje w życiu społecznem ludów, to jeszcze nie jest owa wspaniała dziewiąta fala, nie, może dopiero jakaś czwarta, może dopiero piąta. Ale może już czwarta, może już piąta! I słodko jest kochającemu ludzkość człowiekowi umrzeć, gdy widzi, że te fale idą, wzbierają, napływają jedna po drugiej, że już je można rozpoznać, że już je można nazwać, że już one porywają duszę człowieka w swój bieg.

Wspomniałem Multatulego. Ach, on u nas prawie nieznany! To mocna dusza, to mocny człowiek! Umarł już, a nie zdążyliśmy go poznać. Poznajmy go chociaż po śmierci, poznajmy tego mocnego człowieka. Nam przedewszystkiem potrzeba mocnych ludzi. On nie był dobrym synem swej ojczyzny, bo nie pozwolił jej krzywdzić innych, wołał przy każdej sposobności: „A Jawańczykowi dzieje się krzywda!“ Kto handluje kawą, ten nie lubi tego okrzyku. A ojczyzna Multatulego handlowała kawą. Ponieważ każdy naród ma swoich Jawańczyków i czemś handluje, przeto czytajmy dzieła Multatulego. Wybór ich ukazał się w znakomitym przekładzie Malwiny Posner-Garfeinowej a w wydaniu nie Gebethnera i Wolffa, ale tylko Księgarni Naukowej. Mocnych ludzi wydają u nas zwykle słabe księgarenki. To tak, jak w Paryżu pod innym względem. Woła jakiś pasażer do dorożkarza: dokąd mnie wieziesz? Azali kościół, o który mi chodzi, może się znajdować przy tak marnej uliczce? Panie, odpowiada dorożkarz z humorem, u nas Pan Bóg tylko w takich uliczkach mieszka! Ale i to jest dowodem jakiejś czwartej, czy piątej fali, że dają nam Multatulego, który nie pozwolił krzywdzić Jawańczyka, choć jego naród handlował kawą. Mamy przecież u siebie tylu Jawańczyków i jesteśmy tacy biali, tacy biali, jak zmaglowane prześcieradło. Lekki dreszczyk zmarszczył białą powierzchnię naszej prasy codziennej, gdyż Górnoślązacy zawarli sojusz ze społecznymi demokratami. Co Józef Kościelski uważał za akt rozpaczy, to Górnoślązacy uważali za akt nadziei. Tak, idzie nowa fala, mocna fala, której nie powstrzyma ani warszawski reporter, ani górnośląski ksiądz, „farosz,“ ale za to poleci niezawodnie na Górny Śląsk Jan Popławski i wybije na tej nowej fali swój stempel z napisem: „To ja.“ Uczyni zaś to tem skwapliwiej, że z wielkiego wiecu narodowego we Lwowie musiał na gwałt zeskrobać stempel „to ja,“ bo wzdęła się fala, na której szczycie nie mógł się utrzymać wraz ze swoją partyjką. Sojusz z ludowcami zamienił się także na srogą walkę. Z galicyjskiej

---

— Hej, wieczerza! i spać!.. — zagrzmiał z barki głos Damiana i potoczył się wielokrotnem echem po pustkowiu.

Opuszczone ognisko płonęło czas jakiś, rzucając rubinowe blaski na czarną wodę, na tkwiącą opodal bez ruchu, szkutę, na bure skały nawisłe nad płaskiem pobrzeżem. Wreszcie zarzewie wytliło się, powlokło popiołem, przygasło, pobladło, jakby straciło całą tę krew, jaką napoiły go znikłe przed chwilą postacie. Natomiast wypłynął z za urwiska księżyc i oblał spokojnem, srebrnem światłem śpiącą dolinę, śpiące brzegi, lasy, góry i niestrudzoną, kryształową strugę dążącej do oceanu rzeki...

IX.

Ledwie się wlekli. Zielone nurty rzeki w wielu miejscach stawały wprost dęba przed łodzią, jak kłąb syczących wężów wspinały się wysoko nad jej sztabę, a rozcięte przezeń opadały z bulkotem waru na boki łodzi, poczem rozhukane biegły dalej dwiema bruzdami, tworzyły wiry, wały, kręgi rozchodzące się daleko po wodzie, i uderzające z łoskotem w brzegi.

— Dalej, chłopcy, dalej!.. Wraz!... — Zachęcał Guran chwiejących się na nogach oryli. — Nic nie poradzę... U brzegu jeziora, ale płytko a dalej wart ogniowy... objaśniał pani Annie, która zbolałym wzrokiem śledziła zgiętą postać męża w szeregu holowników. Nawet Damian i Koźma zaczęli holującym pomagać w trudniejszych przejściach, najmłodszy z kupców zjawił się również u sznura. Do obecności Karskiego wszyscy tak się przyzwyczaili, że gdy raz zaspał zmianę, Damian obudził go bez ceremonii.

— Daruje pan, ale zupełnie się nam rozkład sił popsuje... — tłomaczył się grzecznie, Karski wcale się zresztą nie obraził, ubrał pośpiesznie i zajął w milczeniu zwykłe u pólki miejsce.

Strome, opoczyste przylądki coraz częściej podchodziły nad samą wodę. Jeden z nich musieli już „obejść,“ gdyż nie miał wcale przyczółka dla ścieżki! Koźma zabrał sznur i przewiózł go ostrożnie na czółenku wśród gulgocących i wzdętych odmętów. Potem przewiózł po jednemu ludzi. Barka cały czas stała na zahaczonych o skałę bosakach, drżąc jak w febrze i pląsając po przelewających się pod nią bałwanach.

Nieco dalej spotkali trupa człowieka, płynącego twarzą na dół, z grzbietem wygiętym, z rękami i nogami miotającemi się koło tułowia jak szmaty.

— Goście płyną... Macza niedaleko!.. — rzekł Guran, wskazując Annie topielca.

Błędnym wzrokiem ścigała ciało nieszczęśliwego, w czerwoną odziane koszulę. Nazajutrz spotkali drugiego. Ten był zupełnie nagi. Jedynie na nogach miał stare, rozmokłe skórznie. Utknął głową w mieliznę i prądy odwróciły go na bok. Smutnie patrzył na przejeżdżających wydziobanymi przez kruki oczodołami. Ciemna, zamulona broda spływała mu na piersi, na których tuż pod nią czerniała okropna rana.

Nieszczęście chciało, że i tego widziała pani Anna...

— Daleko jeszcze... do Maczy?.. — spytała rwącym się od wzruszenia głosem.

— Z sześćdziesiąt wiorst... Niech się pani nie boi... Teraz to już na pewno dojedziemy... A na topielców niech pani nie patrzy... Ich tu wkoło dużo płynie, jak zwykle... koło złotodajnego kraju! — uspakajał ją Guran.

Ale pani Anna już się nie mogła pokonać i wciąż wodziła obłąkanemi oczami po zielonej topieli, szukając na niej strasznych ludzkich plam. Uspakajała się jedynie w obecności męża; ten zaś jadł łapczywie, co mu dali i natychmiast twardo zasypiał. Tak robili wszyscy, obecnie cała nawet osada statku, gdyż w ten tylko sposób mogli jeszcze podołać niszczącej pracy.

(C. d. n.)

partyi ludowej trzeba było także na gwałt zeskrobać miły stempelek: „To ja.“ Utopić się można w tych nowych, wciąż wzbierających falach! Jan Popławski umie wprawdzie tego pływać, ale z żywiołami żartów niema. Pisz kijem na wodzie! Możnaby sparafrazować słowa Multatulego: „A Górnoślązacy zawarli przymierze ze społecznymi demokratami!“ Dobrze, ale skoro się teraz pojawi znowu stempel: „to ja“, to cóż nareszcie owe „ja“ będzie oznaczało? Jakież soki wsiąkną, jeszcze w owego człowieka-gąbkę?

Idzie fala, nowa fala.

Ale idą także nieśmiałe fale. Nasze białe dzieniki odważyły się twierdzić, że Górnoślązacy a może i Poznańczycy wystąpią do papieża z protestem przeciwko listowi pasterskiemu kardynała Koppa. Nie, byłaby to zaiste zuchwałość pozbyć się takiej ułudy! Polscy obywatele zebrali się wprawdzie w Inowrocławiu i uradzili bardzo energiczny protest, ale go nie posłali ani papieżowi, ani nawet Koppowi, ale... Polskiemu Towarzystwu Wyborczemu na Górnym Śląsku, aby sobie na wieczną rzeczy pamiątkę ten protest oprawiło w ramki i zawiesiło na ścianie. To szła nie fala, ale falka, taką malutka faleczka, takie cichutkie kiwnięcie małym paluszkiem w bucie, aby się broń Boże Ojciec Święty nie dowiedział i nie zmartwił. Lecz Ojciec Święty wie i nie martwi się. Żaden polski Multatuli nie zjawi się w progach Watykanu i nie krzyknie: „A Górnoślązakowi dzieje się krzywda!“

Panowie, panowie, panowie! Kiedyś, gdy przyjdzie jakaś dziewiąta fala, nie będziecie stali na jej szumnym szczycie! Wasi Jawańczycy przejdą po waszych grzbietach ku jakimś nieznanym, przyszłym ideom, myślom, uczuciom, porządkom. „Zadaniem człowieka jest przedewszystkiem: być człowiekiem!“ Ale jeszcze czas, Zrzeknijcie się ambicyjek wybijania na każdej fali stempla z napisem: „To ja,“ gdy te fale przerastają was i przewalają się nad waszemi głowami żywiołowo. Baczność, idzie jakaś czwarta czy piąta fala, która już wie, że będzie wreszcie kiedyś dziewiątą!

Andrzej Niemojewski.

LISTY GALICYJSKIE.

Przeniesienie *Przyjaciela Ludu* do Krakowa. — Charakter stronnictwa ludowego. — Jego koleje. — Bojko. — Stapiński. — Ludowcy w Czytelni akademickiej.

Ostatni numer *Przyjaciela Ludu* zawiera prawdziwą niespodziankę dla wszystkich, nieznających bliżej spraw wewnętrznych galicyjskiego stronnictwa ludowego. Znajdujemy bowiem w tym numerze oświadczenie, podpisane przez posła Jana Stapińskiego, że z dniem 21 czerwca *Przyjaciel Ludu* przenosi się do Krakowa, gdzie i nadal ma wychodzić pod kierownictwem p. Stapińskiego. Jakkolwiek *Przyjaciel Ludu* i dotychczas rozchodził się przeważnie, a nawet prawie wyłącznie w Galicyi Zachodniej, to jednak redagowany i drukowany był we Lwowie, a kierunek nadawał mu jego redaktor rzeczywisty, p. Bolesław Wysłouch. Przeniesienie pisma do Krakowa oznaczałoby przejście jego pod wyłączny kierunek p. Stapińskiego, który dotychczas był nietyle kierownikiem, ile agitatorem stronnictwa ludowego. Twórcą i duszą tego stronnictwa był p. Wysłouch, choć rzadko występował w charakterze jego przedstawiciela na zewnątrz.

Stronnictwo ludowe w Galicyi przechodziło już różne koleje i—kto wie, czy przeniesienie jego organu do Krakowa nie oznacza nowego zwrotu w rozwoju.

Ruch ludowy, kierowany obecnie przez *Przyjaciela Ludu* i stronnictwo ludowe, zjawił się na gruncie galicyjskim w końcu dziewiątego dziesięciolecia, kiedy masy ludowe, rozbudzone kilkunastoletnią pracą agitatorską księdza Stojałowskiego, po raz pierwszy wybrały (w r. 1889) kilku swych przedstawicieli do sejmu lwowskiego. *Przyjaciel Ludu* podjął się uświadomienia żywiołowego jeszcze ruchu ludowego i, budząc wśród chłopów zainteresowanie się sprawami polityki, wysunął naprzód hasło wybierania chłopów na posłów. Pismo to stało się wkrótce prawdziwym organem chłopskim, zasilanym przez chłopów nietylko korespondencyami, ale artykułami, poezyami i innego rodzaju materyałem. W latach 1893—94 *Przyjaciel Ludu* jest już najbardziej wpływowem pismem chłopskiem w Galicyi, dokoła niego skupia się całkiem poważna grupa najbardziej inteligentnych włościan (jak Bojko, Wójcik, Szarek, Bardel, Boruch, Fajber i t. d.), a w p. Stapińskim pozyskuje niezmordowanego agitatora. *Przyjaciel Ludu* nie wystawił żadnego programu klasowego, chciał oddziaływać na masę ludu wiejskiego w jej całości, walczył przedewszystkiem o usamodzielnienie polityczne stanu włościańskiego, o wyjarzmienie i jego z pod wpływu obszarników i przeprowadzenie takich reform, któreby zrzuciły z barków chłopskich znaczną część ciężarów publicznych, niesłusznie na nich zwalonych.

Te prace ogromnie zaniepokoiły sfery panujące w Galicyi — administracyę stańczykowską i kler. Stańczycy założyli specyalne pisemko pseudo-ludowe, *Krakus*, mające zwalczać wśród ludu tendencye *Przyjaciela*. Pisemko to przepełnione było najohydniejszemi oszczerstwami i kłamstwami, ale przez włościan czytywane nie było, choć je rozrzucano po wsiach bezpłatnie w tysiącach egzemplarzy. Kler ze swej strony gorliwie dopomagał stańczykom. Z ambon posypały się kazania przeciwko *Przyjacielowi Ludu*, księża odmawiali rozgrzeszenia jego czytelnikom i współpracownikom, a biskupi galicyjscy w specyalnej kurendzie uroczyście wyklęli organ p. Wysłoucha.

Wszystko to jednak na nic się nie zdało i *Przyjaciel Ludu* w dalszym ciągu szerzył się po wsiach, budząc masę chłopską do czynnej roli w polityce. Ruch wzniecony przez pismo przybiera pomału wszelkie cechy ruchu masowego. Na wiece, zwoływane przez Stapińskiego po wsiach i miasteczkach, zbiera się po kilkuset chłopów. *Przyjaciel Ludu* staje się pomału kierownikiem *całego* ruchu chłopskiego. Ksiądz Stojałowski po nieudanej próbie wytworzenia własnego stronnictwa chłopskiego, idzie ręka w rękę ze Stapińskim i Wysłouchem, jakkolwiek intryguje przeciwko nim pokątnie i jest od nich bardziej radykalnym społecznie (w latach 1893—95).

W r. 1895 odbył się zjazd zwolenników *Przyjaciela Ludu* w Rzeszowie, gdzie wypracowano program stronnictwa ludowego. Program ten był bardzo umiarkowany, żądania ekonomiczne były tak skromne, że mogłyby zadowolić chyba tylko najbogatszą część ludności wiejskiej, a pod względem politycznym program ten nie zdobywał się nawet na żądanie głosowania powszechnego. Kiedy Stojałowski, poróżniwszy się z ludowcami, rozpoczął zwrot na lewo, oni pomału szli na prawo. Wybory 1895 r. zakończyły się walnem zwycięztwem ludowców, którzy wprowadzili do sejmu około dziesiątka swych kandydatów, pomimo że musieli walczyć ze strasznym naciskiem sfer rządowych i kleru. W całym szeregu okręgów zachodnio-galicyjskich, gdzie się im nie udało przeprowadzić własnych kandydatów, zdobyli jednak bardzo poważne mniejszości. Wkrótce potem nastąpił szereg zwycięztw stronnictwa ludowego przy wyborach do rad powiatowych. Zbliżały się wybory do parlamentu— pierwsze na podstawie rozszerzonego prawa głosowania.

Ewolucya ludowców na prawo przyspieszona została przez zjawienie się w Krakowie *Prawa Ludu*, pisemka dla włościan, wydawanego przez partyę robotniczą. Ta ostatnia, sprzymierzywszy się ze Stojałowskim, prześladowanym wówczas przez czynniki miarodajne, jak dzikie zwierzę, poczęła wywierać wpływ na najuboższą część ludności wiejskiej, opuszczającą sztandar *Przyjaciela Ludu*, tak umiarkowanego i niezdecydowanego społecznie. Masa chłopska podzieliła się na dwie części—mniejszość pozostała przy stronnictwie ludowem, większość pociągnął Stojałowski i jego sojusznicy. Doszło do tego, że różne osobistości, żądne łatwej karyery politycznej, i właśnie dla tej karyery łączące się z obozem ludowców, zwalczały Stojałowskiego do spółki ze stańczykami i klerem. Taka polityka nieomieszkała przynieść owoców w postaci tryumfu Stojałowskiego na całej linii i porażki ludowców przy wyborach do parlamentu w r. 1897. Ludowcy zdobyli zaledwie trzy mandaty.

Porażka przy wyborach do parlamentu i obecność wśród posłów ludowych dr. Winkowskiego, szczerego demokraty, który zachowywał się w parlamencie z wielką godnością i ze zrozumieniem zadań polityka ludowego — te dwa czynniki sprawiły, że stronnictwo ludowe rychło przyszło do opamiętania. W parlamencie nie wchodzą do Koła polskiego, ściągając tem na siebie oskarżenie o „zdradę narodową“ i biorą udział w atakach opozycyi na reakcyonistów polskich. Wszelkie usiłowania stańczyków przeciągnięcia posłów-ludowców do Koła rozbijają się o opór posła Winkowskiego.

Tymczasem Stojałowski, odstępując niedawnych sojuszników, wprowadza swych posłów do Koła, zupełnie otwarcie wchodzi w konszachty ze stańczykami, zdradzając interesy mas chłopskich. Ludowcy stają się jedynem szczerze opozycyjnem stronnictwem chłopskiem i zwolna powracają do dawnych, lepszych tradycyj. Przed wyborami w r. 1900 widzimy ich znowu w charakterze opozycyonistów i to o znacznie zradykalizowanym programie. Odezwa wyborcza ludowców oświadcza wyraźnie, że do Koła polskiego nie wstąpią i będą się domagali głosowania powszechnego, jakkolwiek pod względem społecznym program ich po dawnemu pozostaje umiarkowanym i mało wyraźnym. Są oni reprezentantami średniej własności chłopskiej, kiedy burżuazya swojska posiada swych orędowników w grupie t. z. „Potoczkowców,“ a najuboższa ludność albo ślepo idzie za Stojałowskim, albo też ulega wpływom *Prawa Ludu*.

W lecie 1901 r. odbył się w Tarnowie zjazd stronnictwa ludowego, mający załatwić dwie sprawy przedewszystkiem. Chodziło o włączenie do programu żądania wyodrębnienia Galicyi, które to żądanie niedawno przedtem był wynalazł p. Studnicki, świeży nabytek stronnictwa ludowego, w którem zresztą popasał bardzo krótko, i określenie stosunku posłów ludowców do Koła polskiego i stojałowczyków.

Pomysł p. Studnickiego, pomimo całej swej utopijności, podobał się niektórym przywódcom stronnictwa ludowców, a przedewszystkiem pp. Wysłouchowi i Stapińskiemu. To też obydwaj gorąco polecali zebranym paru setkom włościan-ludowców jego przyjęcie, jako część organiczną programu. Większość członków stronnictwa z inteligencyi była przeciwna projektowi włączenia hasła wyodrębnienia Galicyi do programu, zgromadzeni chłopi nie zupełnie zdawali sobie sprawę, czem ma być to hasło i do czego obowiązuje partyę, ale w końcu zjazd, ustępując naleganiom pp.

Wysloucha i Stapińskiego, przyjął ten postulat, który miał pozostać martwą literą bez żadnego znaczenia.

Sprawę wstąpienia posłów-ludowców do Koła załatwiono wniesieniem protestu, jakkolwiek posłowie ludowcy — Bojko i Krempa, wbrew opinii olbrzymiej większości zgromadzonych włościan, wypowiadali się za warunkowem wstąpieniem. Co do sojuszu ze stojałowczykami, to spóźniona pora nie pozwoliła tej sprawy jak należy przedyskutować. Zgodzono się więc na to, że należy iść ręka w rękę z chłopami stojałowczykami, ale nie z ich przywódcą. Wszystko to świadczyło o wielkiem niezdecydowaniu przywódców co do najważniejszych zagadnień galicyjskiego życia politycznego z jednej strony i o znacznem zradykalizowaniu się ogółu włościaństwa w porównaniu z jego przywódcami.

Od owego czasu nie zaszły żadne zmiany w programie stronnictwa ludowego. Pozostało ono, tak jak było, stronnictwem umiarkowanem społecznie, przedstawicielem średniej własności włościańskiej, opozycyjnej względem szlachty, sympatycznie usposobionej względem innych partyj opozycyjnych. Co do taktyki, to obecnie stosunek partyi ludowców do Koła polskiego wyjaśniał się o tyle, że już nietylko wśród mas czytelników *Przyjaciela Ludu*, ale i wśród przywódców niema zwolenników wstąpienia do Koła. Ogół stronnictwa zrozumiał, że wejście kilku posłów chłopskich do klubu tak reakcyjnego, jak Koło, skazałoby ich na odgrywanie tej samej roli, jaką odgrywają posłowie chłopscy, idący pod komendą Stojałowskiego. A rola ta jest wcale niezaszczytna. Nawet poseł Bojko, człowiek miękki i najbardziej chwiejny na tym punkcie, oświadczył niezbyt dawno, że uważa chęć wstąpienia do Koła polskiego za główny błąd swego życia politycznego.

A Bojko jest istotnie wybitniejszą osobistością wśród tej masy chłopskiej, jaka skupia się dokoła *Przyjaciela Ludu*. Samouk, obdarzony wielkim a nawskroś oryginalnym talentem publicystycznym, doskonały mówca, umiejący trafiać do duszy swych współbraci, jest on postacią niezmiernie sympatyczną. Gdzieś w jakiejś Szwajcaryi, Danii albo Norwegii byłby on zupełnie na swem miejscu, jako przewodnik partyi chłopskiej, ale w stosunkach galicyjskich nie może odgrywać tej roli, na jakąby go było stać gdzieindziej. Jest to natura miękka, skłonna do ustępstw dla miłego pokoju, tkliwa, ulegająca wpływom najróżnorodniejszym, widząca wszędzie szczerość i dobrą wolę. Wskutek tego w stosunkach galicyjskich, gdzie potrzeba takich Daszyńskich — ludzi o niezłomnym harcie ducha, bezlitosnej konsekwencyi w zwalczaniu przeciwników, Bojko nie może sobie dać rady. Nie będąc klerykałem, nie waży się jednak występować przeciwko antispołecznej działalności duchowieństwa katolickiego w Galicyi. Klątwa, rzucona nań z ambony przez głupiego fanatycznego klechę, zdolna go jest doprowadzić do rozpaczy, pozbawić wszelkiej energii i sił. Kiedy przy ostatnich wyborach do parlamentu przeciwstawiono mu, jako kandydata, jakiegoś księdza — Bojko nawet nie agitował za sobą, nie chcąc narażać się na zarzut, że walczy „z religią.“ I tylko dzięki tej taktyce przepadł przy wyborach w okręgu, gdzie jest znany i powszechnie szanowany przez chłopów.

W stronnictwie ludowem jest znaczny poczet inteligentnych i wyrobionych włościan, choć niema tam ludzi utalentowanych, jak Bojko. Niema też ani jednego chłopa, o którym można byłoby powiedzieć, że jest przywódcą mas ludowych. Są to ludzie bardzo na miejscu w radach gminnych, powiatowych, do pewnego stopnia w sejmie, ale nie w parlamencie.

Zasada wybierania samych chłopów do wszystkich ciał ustawodawczych, a więc i do parlamentu, głoszona konsekwentnie przez *Przyjaciela Ludu* od początku, zbankrutowała zupełnie. Chłopi w parlamencie odgrywają rolę pożałowania godną. Nie umiejąc albo umiejąc bardzo słabo po niemiecku, nie mogą w nim zabierać głosu. Brak im zupełnie przygotowania do tego, aby się mogli zoryentować w nader skomplikowanych stosunkach ogólno-państwowych tak politycznych, jak i społeczno-ekonomicznych. Stąd obecność ich w parlamencie jest najzupełniej jałową dla tej sprawy chłopskiej, której mają bronić. Z drugiej strony posłowie chłopscy łatwo ulegają demoralizacyi na skutek intryg panów z Koła, którzy np. bardzo umiejętnie skorzystali z chłopskich posłów stronnictwa stojałowskiego, zrobiwszy ich pionkami w swej służbie. Niepodobna też zamykać oczu i na ten fakt, że posłowanie wywołało wśród chłopów objawy karyerowiczowstwa. Dyety poselskie stały się dla przyzwyczajonych do nader oszczędnego życia, źródłem nadzwyczajnych zarobków. To też u wielu kandydatów chłopskich owe dyety są jedynym celem walki wyborczej.

Jeśli się zwrócimy do inteligencyi stronnictwa ludowego, to musi nas przedewszystkiem zdziwić jej wielka szczupłość liczebna. Ludowców inteligentów w Galicyi jest bardzo mało, a ludowców inteligentów czynnych zaledwie kilku. Wobec takich warunków nic dziwnego, jeśli p. Stapiński odgrywa rolę dużą, nie będąc osobistością wybitną pod żadnym względem Syn ludu, znający doskonale stosunki chłopskie zachodniej Galicyi, dobry agitator umiejący doskonale przemawiać do mas chłopskich, był on przez cały czas istnienia stronnictwa ludowego głównym organizatorem ludu. Stapińskiemu stronnictwo ludowe zawdzięcza prawie wszystkie swe sukcesy wyborcze i bez jego pracy ludowcy nie byliby mieli ani dziewiątej części tego znaczenia, jakie posiadają obecnie. Ale będąc dobrym wykonawcą planów p. Wysloucha, p. Stapiński, działając na własną rękę i redagując samodzielnie *Przyjaciela Ludu*, nie daje gwarancyi, że nie sprowadzi tego ruchu na manowce. To też przeniesienie *Przyjaciela Ludu* do Krakowa i objęcie przez p. Stapińskiego niepodzielnego w nim kierownictwa może postawić całe stronnictwo ludowe na progu nowej ery.

Właśnie w tym samym czasie, kiedy *Przyjaciel Ludu* zostaje przeniesiony do Krakowa, we Lwowie wśród młodzieży akademickiej rozpoczyna się ewulucya, bardzo dla stronictwa ludowego pomyślna — jeśli będzie trwała. Mianowicie w najliczniejszem skupieniu lwowskiej młodzieży akademickiej — w „Czytelni Akademickiej,“ która dawniej była bezbarwną, następnie narodowo-demokratyczną, coraz większa liczba młodzieży poczyna się solidaryzować ze stronnictwem ludowem. Nietolerancya krańcowa, bezwzględność w traktowaniu wszystkiego, co nie należy do narodowej demokracyi, coraz reakcyjniejsze stanowisko w najważniejszych kwestyach życia polityczno-społecznego i kulturalnego młodzieży narodowo-demokratycznej budzi coraz silniejszą reakcyę wśród żywiołów nawet umiarkowanie postępowych. Te to żywioły obecnie poczynają brać górę w „Czytelni Akademickiej,“ występując w charakterze zwolenników stronnictwa ludowego. Czy z tych młodych ludowców stronnictwo ludowe będzie miało jaki pożytek, przyszłość dopiero pokaże.

Daleki.

Listy z Francyi.

Paryż, w czerwcu.

Prix de Rome. — Obrona tej instytucyi przez „Revue des deux-mondes. — Szczegółowa ankieta dziennika *L'Aurore*. — Wystawy obrazów.

Znowu surowo krytykowano w ostatnich czasach tutejszą państwową Szkołę sztuk pięknych, oraz słynną nagrodę „Prix de Rome,“ marzenie wszystkich niemal artystów. Okolicznością, która wywołała spory, był obchód w Rzymie setnej rocznicy zainstalowania Akademii sztuk pięknych w uroczej willi Médicis.

Wiemy, że tę Akademię założył jeszcze Colbert za Ludwika XIV, że jak dawniej tak i teraz przeznaczona jest dla laureatów, którzy otrzymali nagrodę pierwszą t. zw. Prix de Rome, w dziale malarstwa, rzeźby, architektury, rytownictwa oraz muzyki. Dostają oni 600 fr. na koszta podróży do Rzymu, pensyę 2,300 fr. rocznie przez lat 4, oraz całkowite utrzymanie; obowiązani są natomiast mieszkać w owej willi, kształcić się, tworzyć oraz wykończać oznaczone w programie prace, które corocznie nadsyłać muszą do paryskiej zwierzchności. W drugim roku malarze i architekci mogą podróżować po Włoszech i Sycylii, a od trzeciego — i po Grecyi, muzycy zaś po rocznym pobycie w Rzymie mają podróżować po Niemczech i Austryi. Po czteroletniem korzystaniu ze stypendyów rządowych wybrańcy pobierają jeszcze przez lat cztery po 3,000 fr. rocznego zasiłku z zapisów prywatnych. Obecnie willa Médicis utrzymując 15 do 20 artystów, kosztuje rząd rocznie 150,000 fr.

Jakby w przewidywaniu, że jubileuszowy obchód nastręczy okazyę do napaści na „Prix de Rome,“ zgrzybiała staruszka *Revue des deux mondes* w kwietniowym zeszycie zamieściła gorącą obronę tej anachronicznej instytucyi przez H. Lapauze'a. Naturalnie zachwyca się on boską jakoby miejscowością willi Médicis, jej uroczem położeniem na Monte Pincio, parkiem cudownym, ciszą czarowną. Podług niego tworzyć i rozwijać swój talent można jedynie w tak pięknym zakątku, zdala od świata i ludzi, wśród zabytków starożytnej sztuki, bo życie tkwi tylko w pięknie, a zadaniem sztuki jest szukać piękna itp.

Natychmiast po pojawieniu się tego artykułu, powtórzonego częściowo przez wiele pism, znany krytyk artystyczny M. Le Blond zwrócił się z zapytaniem do wszystkich wybitniejszych artystów i krytyków, co myślą o „Prix de Rome.“ Niemal wszyscy dawni laureaci zbyli list milczeniem, wstydzili się widać bronić opiekunki, która im przyniosła w darze zaszczyty, stanowiska i fortunę. Niemniej jednak otrzymał kilkadziesiąt odpowiedzi, z których większość zamieścił w dzienniku *Aurore*. — Wszyscy wypowiadają się albo za całkowitem zniesieniem Akademii w Rzymie, lub za radykalnem jej zreformowaniem, dowodząc, iż nie przyczyniła się niczem do rozwoju talentów i wogóle sztuki francuskiej. Jeśli zdarzyło się czasami, że z niej wyszli, a raczej przez nią przeszli tacy artyści, jak malarz Ingres, muzycy jak Gounod, Berlioz lub Bizet, to można stanowczo twierdzić, że nie jej zawdzięczają, iż wznieśli się na wyżyny prawdziwej sztuki. Inni wybitni malarze i rzeźbiarze jak Delacroix, Daumier, Rousseau, Millet, Corot, Daubigny, Manet, Degas, Pissarro, Carrière, Rodin nie odsiadywali kilku lat w willi Médicis i nie marnowali sił i talentu na kopiowanie utworów dawnych mistrzów. — Frante Jourdain, Camille Mauclaire, G. Mourey utrzymują, że jest ona instytucyą antifrancuską, zabijającą ducha narodowe-

go, krzewiącą pogardę szkoły flamandzkiej, hiszpańskiej i dawnej francuskiej.

Raffaëlli pisze: „Ażeby być wielkim artystą, trzeba, najpierw stać się człowiekiem, a rozwijać się można jedynie wśród żywego społeczeństwa, odczuwając jego bóle i walki, a nie w szkole i zdala od ludzi...."

Architekt Plumet mówi: „Laureaci jadą studyować starożytne kolumnady i zabytki dawnych czasów tak obce teraźniejszemu pokoleniu, na naszej ziemi i w naszym klimacie. Wszak oni powinni odczuwać życie współczesne, studyować je w jego rozwoju, zdawać sobie sprawę z potrzeb i dążeń człowieka dzisiejszej doby, ich utwory winny być wyrazem, stylem naszej epoki..."

Słynny kompozytor Bruneau dowodzi: „Niech artysta nauczy się swego rzemiosła — na to zgoda, niech otrzyma nawet jakieś świadectwo lub patent. Ale oburzać się trzeba na to, że nie pozwalają mu swobodnie pracować w wieku, kiedy jego geniusz zaczyna się przejawiać. Dajcie mu zupełną wolność, gdy zaczyna sam tworzyć. Pozwólcie mu iść tam, gdzie go rwie dusza, wyrażać swe myśli i uczucia samodzielnie, powiedźcie, że przestał być uczniem, a stał się wreszcie człowiekiem twórcą..."

Słowem rozpatrując bezstronnie zdania przeróżnych krytyków i znawców, musimy przyznać, że willa Médicis nie przyczynia się bynajmniej do rozwoju talentów, że nieraz nawet zabija budzącą się indywidualność artystyczną, że więc „Prix de Rome" musi uledz radykalnym reformom.

Gdyby sumy, jakie pochłania utrzymanie willi Médicis wraz z jej uczniami, użyto tylko na bezterminowe pożyczki dla młodych artystów, na ich kształcenie się wedle woli i upodobania w kraju i za granicą — niewątpliwie sztuka francuska, nieskrępowana więzami rutyny i klasycznych szablonów, mogłaby rozwinąć całkiem nowe i odrębne szlaki twórczości. Obecnie jesteśmy jakby na przełomie, w okresie oczekiwania zarówno w sztuce, jak i życiu społecznem Francyi. Gdy jednak w literaturze Zola, Anatole France, Mirbeau i inni potrafili odczuć budzące się nowe siły, stali się rzecznikami i zwiastunami nowych prądów i nowej epoki, — to artyści dłuta i pędzla pozostają wciąż głusi i ślepi, nie umieją wsłuchać się w pieśń budzącej się rzeszy, nie są w stanie dopatrzeć promieni wschodzącego słońca.

Najlepszym tego dowodem są doroczne wystawy obrazów. — W obu Salonach Grand Palais, mieszczących przeszło 3000 obrazów i przeszło 1000 rzeźb, na wystawie „niezależnych artystów," na wystawie pastellistów, w galeryach Durand-Ruel'a, Silberberga, Petit'a, Hessèle'go, itp. nie znajdujemy żadnego utworu, któryby porwał widza jaką wzniosłą ideą, zbudził w nim szlachetniejsze, altruistyczne uczucia, odzwierciedlił pędzlem lub dłutem dzisiejsze bóle i krzywdy, burze i nawałnice. Tegoroczne wystawy sztuki — jak wogóle lat ostatnich — nie zwiastują prawie niczem nowych dążeń i nowych kierunków, najwybitniejsi artyści jak Rodin, Carrière, Chéret, nie przysłali wcale swych utworów. Impresyonizm wyraźnie chyli się do upadku, a na jego miejscu występuje nowy snobizm, modnymi stają się przeważnie „les peintres d'intimité."

W salonie „Société nationale des Beaux-Arts" spotykamy głównie płótna wabiące widzów i kupców efektami malarskimi, w sąsiednim salonie „Société des Artistes français" głównie obrazy przeznaczone dla zblazowanych „mecenasów sztuki," którzy poszukują tak zwanych studyów dla ozdoby sypialnych komnat, oddzielnych gabinetów restauracyjnych oraz wszelkiego rodzaju miejsc wesołych.

W obu Salonach najwięcej zwracają uwagę — nie z powodu swej artystycznej wartości, a dla swych olbrzymich rozmiarów, jako też przedstawienia znanych osobistości, — obrazy zakupione przez rząd: Bertrand'a — pogrzeb prezydenta Carnot'a o charakterze melodramatycznym, Woerts'a „Fête du Lendit" przeznaczony do amfiteatru Sorbony, zimny i całkiem pozbawiony życia, plafon Schommer'a, tryptyk Geoffroy itp. Znamiennem jest, że w tym roku wystawiono znacznie mniej obrazów treści religijnej lub batalistycznej. Wśród rzeźb spotykamy niemało utworów, przedstawiających ludzi pracy, do tej kategoryi należy Constant Meunier'a głowa starego górnika. Z pomiędzy obrazów zaś nader niewiele odtwarza życie ludu wiejskiego lub robotników, a najmniej takich, które poruszają głębiej kwestye społeczne; zaznaczyć tu jednak należy dwa utwory świadczące, że ich autorowie są ludźmi idei XX wieku, a nie naśladowcami dawnych mistrzów, fotografami natury i ludzi, lub co gorsza fabrykantami malowideł, przeznaczonych dla zniedołężniałych starców i znieprawionych młodzieńców.

Jeden z tych malarzy, Veber, o którym wspominaliśmy już w roku zeszłym z powodu jego obrazu „Maszyna," wystawił obecnie sześć obrazków, z których każdy przedstawia pewną ideę społeczną. Najwięcej uderza widza „Les bouches inutiles" odtwarzający burzliwą scenę w parlamencie: na trybunie mówca — uderzająco podobny do Jaurès'a — stara się przekrzyczeć kłócących się deputowanych, ale znać że bez pomocy woźnych nie zdoła ich uśmierzyć. Obraz ten nie znajdzie z pewnością nabywcy pomiędzy członkami Izby, ale jest wyrazem przekonań wielu uświadomionych pracowników francuskich.

Drugi malarz mniej znany, Morel-Clément, wystawił dwa utwory, dające widzowi do myślenia; jeden z nich zatytułowany „La chasse à l'homme" jest bardzo wyrazisty. Po śnieżnej drodze ucieka gdzieś w dal siwy wynędzniały starzec, unosząc bochenek chleba pod pachą, a za nim pędzi bezduszny i bezmyślny tłum, oburzony pogwałceniem prawa własności.... Opodal stoją dwaj księża, ze spokojem przyglądając się temu ohydnemu polowaniu, któremu tak łatwo mogliby kres położyć w imię miłości bliźniego...

Obok obrazów, rzezb, medalionów i pomysłów architektonicznych mamy w tym roku więcej, niż kiedykolwiek w obu Salonach, przedmiotów sztuki stosowanej. Dział ten jest właściwie wystawą handlarzy „objets d'art," a nie ich twórców, których nazwiska często nawet nie figurują. Są to niemal wyłącznie przedmioty zbytku, przeznaczone dla bogaczy; jeden tylko architekt Benouville wystawił skromne umeblowanie artystyczne dla mieszkania robotniczego lecz cena 1,200 fr. czyni je najzupełniej niedostępnem dla robotnika francuskiego, zdobić więc pewnie będzie letnie mieszkania pracodawców.

Jak widzimy, na tegorocznych wystawach paryskich niema ani arcydzieł, ani utworów, zaznaczających nowe kierunki i dążenia w sztuce. Nie mniej przecie nie należy sądzić, że sztuka francuska upada lub stoi niżej od sztuki w innych krajach. Paryż jest dziś środowiskiem życia artystycznego w całym świecie, a francuscy malarze i rzeźbiarze, przeciętnie biorąc, są daleko więcej wykształceni i uspołecznieni, aniżeli artyści innych narodowości. Wielką jednak przeszkodą dla ich rozwoju jest obecny system i duch w rządowej szkole sztuk pięknych, Ecole des Beaux-Arts.

Powinnaby ona stać się wolnym przybytkiem sztuki, gdzie wszystkie formuły i kierunki byłyby dopuszczone i szanowane, nie może bowiem istnieć estetyka państwowa, tak jak niema religii państwowej. Państwo winno jedynie dostarczyć środków dla wykształcenia artystycznego, modeli, kolekcyj itp.; nie do niego jednak należy zachęcać i protegować uczni Barrias'a, Gerôme'a lub Bouguereau, ze szkodą wielbicieli Rodin'a, Eug. Carrière'a lub Claude Monet'a. Pracownie powinny być wolne, a młodym artystom należałoby zostawić swobodę wyboru mistrza, do którego ich pociągają sympatye, przekonania i zapatrywania na sztukę.

Dr. Józef Zieliński.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Prawdziwy potentat.

Dowiadujemy się z pism codziennych, że we Lwowie przy starostwie została utworzona komisya dla cenzurowania sztuk teatralnych i że w skład jej, prócz trzech urzędników, weszli dwaj znani literaci, Adam Krechowiecki i Stanisław Rossowski. Adam Krechowiecki był już właściwie dawniej cenzorem teatralnym w drugiej instancyi i kto wie, czy to nie on skonfiskował swego czasu sztukę obecnego swego kolegi, Rossowskiego. Trudno doprawdy zliczyć, ile godności, zaszczytów, urzędów i zawodów ześrodkowało się w jednej jedynej osobie p. Krechowieckiego. Powieściopisarz, krytyk, prezes stowarzyszenia polskich literatów i dziennikarzy, wreszcie cenzor — prawdziwy potentat. Gdyby p. Krechowiecki posiadał słaby odblask talentu, mógłby istotnie zająć w literaturze stanowisko jednookiego króla między ślepymi. A widocznie chodzi mu o taki stan literatury w Galicyi. Pisze, krytykuje drugich, a wostateczności nawet konfiskuje. No, no! Bardzo wygodne położenie. Pan Krechowiecki ma chyba sumienie zdarte, jak stara podeszew. Kto sam tworzy, ten rzadko sądzi innych sprawiedliwie; a kto sam tworzy i w dodatku sądzi, czyż może jeszcze cenzurować bez przypuszczalnej stronniczości? I taki stan ścierpią Galicyanie? Taki pan będzie prezesem stowarzyszenia literacko-dziennikarskiego? Dziwni ludzie! Niebawem dowiemy się, że p. Krechowiecki został jeszcze — wydawcą. Ale i to w pewnym sensie już istnieje, gdyż taki potentat oddziaływa na wydawców. Czytaliśmy artykuły, w których udziela wydawcom rad wycofania tego lub owego nakładu. A wydawcy wobec takich potentatów bywają bardzo skromni i posłuszni. Talentu panu Krechowieckiemu powinszować nie możemy, ale za to — czoła!

Humorostyczne zgromadzenie.

We czwartek dnia 18 czerwca odbyło się jedyne w swoim rodzaju a prawdziwie humorystyczne zgromadzenie.

Koło reprezentantów Towarzystwa kredytowego m. Warszawy zaprosiło właścicieli domów i przedstawicieli prasy na zgromadzenie, którego celem wyraźnie zaznaczonym miało być przedyskutowanie trzech wniosków i „w razie akceptacyi któregokolwiek z nich, wybór osób do ściślejszego podkomitetu."

W dyskusyi zabrał głos finansista—bankier: w przemówieniu pełnem swady oratorskiej rozdzierał szaty nad niezdrowym stanem ekonomicznym kraju, w którym bez pracy można zarobić 7 do 8 procentów od kapitału. Jest to szalony wyzysk, którego ofiarą padają przedewszystkiem biedni kamienicznicy warszawscy, otrzymując od Towarzystwa na pierwszy nu-

mer hipoteki zaledwie 30 proc. wartości, zniewoleni są na drugi i na trzeci szukać po za Towarzystwem kredytu drogiego, za który wiele płacić trzeba. Finansista ów domagał się, aby Towarzystwo udzielało u nas, tak samo jak wszędzie za granicą i w Cesarstwie, pożyczek hipotecznych aż do wysokości 75 proc. wartości. Przeciwko temu projektowi podniosła się jednakże opozycya ze strony biednych kamieniczników warszawskich, ponieważ przy łatwiejszym kredycie zaczęłoby się stawianie domów w większej ilości, a wtedy liczba niezajętych lokali, które już dzisiaj „nie wiadomo z jakich powodów w tak wielkiej ilości stoją pustkami,“ znacznie się powiększy. Biedni kamienicznicy rozwodzili żale nad niebywałym wyzyskiem, jakiego padają ofiarą i nad niezbędną potrzebą poprawy położenia, a zwłaszcza nad koniecznością ograniczenia spekulacyi budowlanej, którąby mogła wpłynąć na obniżenie wysokości komornego. A gdy dyskusya zaczęła wychodzić po za ramy z góry przeznaczone, pan prezes koła reprezentantów Towarzystwa oświadczył zebranym, że zostali zaproszeni po to, aby wybrać ludzi do podkomitetów, mających wnioski szczegółowo opracować. Jakkolwiek oświadczenie to sprzeciwiało się wyraźnemu brzmieniu zaproszenia, to jednak nikt z obecnych przeciwko niemu nie zaprotestował.

Tutaj nastąpiło także jedyne w swoim rodzaju intermezzo, a mianowicie napędzanie z katedry abonentów pismu, które zamierając, pragnie ratować się jeszcze wszelkimi sposobami. Pan przewodniczący, wyraziwszy ubolewanie, że właściciele kamienic w Warszawie nie mają organu, w którymby się porozumiewać mogli, oświadczył, że *Gazeta Warszawska* postanowiła otworzyć swoje łamy dla wszelkich dyskusyj, a przedewszystkiem dla wszelkich ogłoszeń, pod warunkiem, że panowie kamienicznicy będą pismo prenumerować.

Rozprawiano także na temat ustanowienia przepisów porządkowych w nieruchomościach naszego miasta, przyczem zaznaczono, że pod tym względem panuje niejednolitość, a przeto należy koniecznie porozumieć się, aby od wszystkich lokatorów wymagać tego samego. Ta zachwycająca arbitralność nie spotkała się z najmniejszym oporem, wybrano więc drugi podkomitet do jej omówienia i wprowadzenia w życie, któremu oddano też do rozpatrzenia sprawę palenia śmieci.

Pomoc dla uczących się.

Stan. Ciesz. poruszył w *Wieku* bardzo ważną sprawę założenia „Towarzystwa pomocy dla uczącej się młodzieży“; projekt ten, aczkolwiek trudny do przeprowadzenia, jest tak ważny i doniosły, że należy o nim pomyśleć i o ile możności jak najprędzej w czyn go wprowadzić. Według pięknego ideału demokratycznego, całe wykształcenie narodowe, zacząwszy od elementarnego a na uniwersyteckiem skończywszy, powinno być zupełnie bezpłatne i przystępne dla wszystkich bez wyjątku. Skoro z różnych przyczyn od ideału tego tak bardzo jesteśmy dalecy, obowiązkiem naszym jest przynajmniej starać się zbliżyć do niego jak najbardziej i uczynić wszystko, co jest w naszej mocy, aby urzeczywistnienie jego przyspieszyć. W tym kierunku choć częściowo i pośrednio zmierza wniosek p. Stan. Ciesz., za utworzeniem specyalnej instytucyi, która nie doryweczo i po amatorsku, ale stale i systematycznie niosłaby pomoc uczącej się młodzieży, opłacając wpisy, udzielając zapomóg, wyszukując lekcyj, kondycyi oraz innych ubocznych zajęć, umożliwiających prowadzenie i kończenie studyów. Dzisiaj czynność ta jest niezorganizowana i nieodpowiednio prowadzona — a co gorsza, służy niekiedy za pozór zasługi społecznej ludziom ubiegającym się li tylko za własną korzyścią i cynicznie nadużywających dobrej wiary ślepego ogółu. Otóż, zorganizowanie pomocy naukowej położyłoby kres nadużyciom i wprowadziło całą sprawę na właściwe tory!

Proces Witkiewicza.

„Bagno“ zakopiańskie rozlało się raz jeszcze przed naszem społeczeństwem w postaci procesu, wytoczonego przez szwagra dr. Chramca p. Witkiewiczowi o rzekomą obrazę honoru, której dr. Gaik dopatrzył się w broszurze Witkiewicza, opisującej znane zajścia zakopiańskie.

W przeddzień procesu młodzież akademicka na wiecu, odbytym we Lwowie, wyraziła Witkiewiczowi swoje uznanie za obywatelskie wystąpienie w obronie Zakopanego — to jeden policzek moralny; publiczność, na galeryi zebrana, przyjęła przemówienie Witkiewicza oklaskami — to drugi policzek; wreszcie sąd przysięgłych, a za nim i trybunał uniewinnił Witkiewicza od zarzutu obrazy honoru — to trzeci policzek, boć rzecz prosta, że w ten sposób wszystkie, zarzucane szajce zakopiańskiej, nadużycia zostały nietylko przez opinię publiczną, ale i przez sąd uznane za istniejące i karygodne. Może obecnie i władza krajowa zmieni swoje dotychczasowe niezrozumiałe stanowisko i weźmie się energicznie do oczyszczenia tej cuchnącej stajni Augiaszowej.

Kradzież trupa.

Tomasz Bielas, podmajstrzy mularski, został uniewinniony przez sędziego pokoju 19 rewiru, pomimo że dopuścił się dość niezwykłego przestępstwa — kradzieży trupa swej ciotki, zmarłej w szpitalu Dzieciątka Jezus, którą chciał przyzwoicie pogrzebać. Oskarżenie opierało się na tem, że prosektoryum szpitalne ocenia wartość trupa po 60 rubli od sztuki. Sąd jednakże wyszedł z tego założenia, że trup nie posiada żadnej wartości pieniężnej, a więc za jego kradzież karać nie można.

Tak się przedstawia prawna i formalna strona tej sprawy, ale posiada ona jeszcze inną ważniejszą i o tej słów kilka powiedzieć należy.

Nauka potrzebuje koniecznie trupów do prac sekcyjnych, a potrzeby medycyny w tym kierunku nie mogą być uważane za profanacyę nieboszczyków. Ale takiego zrozumienia wymagań kultury i takiej względności nie mamy prawa oczekiwać od Bielasów, których wykształceniem nikt się nie zajmuje, karać ich też ani nawet potępiać za podobne wykroczenia nie należy, a to tem bardziej, że w sferze o wiele od Bielasów umysłowo wyższej sekcye pośmiertne uważane są za krzywdę nietyle może dla umarłych, co dla pozostałych żyjących. Lecz ze względu na osoby blizkie, które umierający w szpitalach pozostawiają czasami, należałoby z ciałem po sekcyi obchodzić się przystojniej, niż to się dzieje zazwyczaj, złożyć je prawidłowo i zszyć tak, by trup wyglądem swym nie obrażał uczuć blizkich mu ludzi i nie świadczył o cynicznem niedbalstwie i obojętności służby sekcyjnej. Wówczas może śmierci w szpitalu nie lękanoby się jak zhańbienia i poniewierki — i nie wykradanoby trupów, aby je przed sekcyą zabezpieczyć.

LITERATURA I SZTUKA.

Nowele i powieści Orkana.

(Dokończenie).

Przechodząc od nowel i obrazków Orkana do jego powieści obszerniejszych, zauważyć musimy, że pierwsza z nich — „Komornicy“— chociaż maluje również piórem, maczanem w sercu, pełnem współczucia i miłości, mało nam znane a ciekawe stosunki, choć ma scen parę, pełnych napięcia dramatycznego, nie stoi jednak wogóle, pod względem czysto artystycznym, na tym wysokim poziomie, na który wzniósł się już autor we wszystkich prawie szkicach i obrazkach, objętych wspólnym tytułem „Nad urwiskiem.“ Być może zresztą, że najlepsze z nich przynajmniej napisane zostały później od „Komorników.“ Obie książki noszą na okładce datę roku 1900, lecz pierwszą powieść swoją Orkan wykończył już na schyłku roku 1898, i to właśnie zapewne wytłomaczyćby nam mogło względną jej niższość od nowel niektórych.

Pamiętacie np. taką „Juzynę“? Jest to sobie drobiazg tylko, dramat młodego i zgłodniałego pastuszka, któremu nie przynieśli na pastwisko górskie obiecanego święcie podwieczorku. A jednak na kilkunastu stronicach tego urywka autor umiał sięgnąć tak głęboko do duszy biednego sieroty i tak ustopniować doznawane przezeń kolejno uczucia, że nie zawahalibyśmy się postawić tego drobnego obrazka obok najpiękniejszych pereł nowelistyki polskiej.

Tej właśnie głębokiej a przejrzystej zarazem psychologii, tej prostoty środków, zmierzających do celu jednego, tej nawet jędrności i barwności języka, któremi nacechowany jest cały zbiór „Nad urwiskiem,“ brak jeszcze wogóle w „Komornikach,“ niewywierających wrażenia dzieła jednolitego i skończonego, lecz raczej kilku epizodów osobnych, luźnie dosyć i nawet trochę sztucznie połączonych w całość obszerniejszą.

Trzy nowele co najmniej możnaby wykroić z tej powieści. Pierwszą, najciekawszą i najgłębszą, tworzy dramat starego młynarza, kowala i wogóle majstra wiejskiego, zamożnego i szanowanego powszechnie Chyby, którego sławę długoletnią zaćmiewać zaczynają w oczach gromady niezwykłe wynalazki syna, genialnego mechanika-samouka, wiecznego „dumaca i niemrawy“ — Jaśka. Jeszcze chłopcem małym będąc, strugał on fujarki, naprawiał harmoniki i robił w kuźni przy ojcu. Z czasem ojciec zdał na niego kuźnię i rad widział, że syn garnie się do świata. Ale cóż? Jaśkowi kuźnia nie starczyła, począł majstrować koło tracza, porobił nowe koła, młyn naprawił — i ojciec ze zgrozą zobaczył, że syn umie więcej od niego. Z każdą nowo wymajstrowaną maszyną wzmagała się zawodowa zazdrość starca, dotkniętego głęboko w swej ambicyi i powadze ojcowskiej, znoszącego katusze rozszalałej pychy i zawiści, doprowadzającej go wreszcie do napół świadomego zabójstwa syna, ginącego między kołami tracza, na które wodę puścił umyślnie stary Chyba.

Drugą ponurą nowelę wytworzyćby mogła niemniej dramatyczna historya Hanki Kozerówny, ginącej z rozpaczy po dziecku nieślubnem, zgubionem w drodze przez starego Kozerę, którego co noc „wodziło cosi“ do karczmy. Nagniewawszy się na córkę za „hańbę,“ jaką siebie i jego okryła

postanowił wreszcie ochrzcić, jak się patrzy, wnuka; przesiedział z nim przez dzień cały w karczmie, a potem upuścił gdzieś dziecko z rękawa, na mróz i śnieg ostrej zimy, na który, jak szalona, wybiegła po nie chora matka, aby już więcej nie wrócić.

Trzecią historyę dopiero stanowią właściwe dzieje komornicy góralskiej, Margośki, znoszącej wraz z dziećmi prześladowania od starego Chyby, pogardę lub obojętność ze strony całej wioski, aż wreszcie, opuszczona przez syna, szukającego zarobku na Węgrzech, umiera z gorączki, głodu i zimna, nie mogąc się doczekać paru kropel mleka, po które do nielitościwych sąsiadów posłała kilkoletnią swą córkę.

Samo nagromadzenie tylu ponurych barw i obrazów w jednym utworze wywiera chwilami wrażenie przesady i świadczyć się zdaje o pewnem niezrównoważeniu talentu, który zresztą, w drugiej zwłaszcza połowie powieści, zdobywa się na sceny silne, wstrząsające i na dosadną charakterystykę kilku ważniejszych postaci. Ale nad całością utworu unosi się czarna chmura goryczy i zwątpienia; nędza, ciemnota, pijaństwo, głód szczerzą tu zęby do siebie, brak prawie jednego jaśniejszego promienia, jak gdyby powieść cała pisana była w takim nastroju, jaki np. w „Nad urwiskiem“ podyktował pełne gorzkiej ironii życiowej „Piekiełko.“

Koroną dotychczasowej twórczości Orkana i zarazem dziełem, w którem rozwinęły się szeroko orle skrzydła talentu zagórzańskiego poety, jest wydana niedawno dwutomowa powieść p. t. „W Roztokach.“ W powodzi beletrystyki współczesnej należy ona niewątpliwie do tych wyjątkowych utworów, które przetrwają ogniową próbę czasu i przejdą do literatury, jako jej zdobycz trwała, chociaż zwykłym pożeraczom drukowanego słowa i ich urzędowym krytykom może dziś mniej się podobać od pierwszej lepszej umoralniającej lub demoralizującej bajki, jakich tyle ukazuje się corocznie ku pożytkowi i rozrywce starych dzieci. Nie pojedynczem jakiemś zdarzeniem zajął się w tym utworze autor, lecz odsłonił przed nami potężną falę życia, która istotnie, jak zapowiadał jeszcze w przedmowie do „Komorników,“ złączona z szumem wodospadów, burzy się i huczy rozgłośnie. A chociaż rzecz cała rozgrywa się i tutaj u stóp chmurnego Turbacza, we wspomnianem już przez nas „gnieździe dzikich Gorców,“ i ma za tło — ukochane przez poetę wyżyny karpackie, a w dalszej perspektywie — ukazujące się w łunach zachodu olbrzymie, krwawe Tatry, przebijające w górze błękit ostrymi szczytami, to jednak powieść ta, ze swą odwieczną walką dwóch wrogich i ścierających się wzajemnie mocy, nosi już nie ściśle góralski, lecz szerszy, ogólno-ludzki charakter, i jest, być może, początkiem i zapowiedzią zarazem nowej fazy w rozwoju nieposolitego talentu Orkana, który pogłębił w niej i rozszerzył znacznie zakres obserwacyi i potrafił wznieść się na wyżyny artyzmu, dostępne tylko pierwszorzędnym duchom twórczym.

Dwie wrogie, dwie zwalczające się wzajemnie moce... Tworzy je, naturalnie, z jednej strony świat stary i w formach zmurszałych zakrzepły, którego znakomicie nakreślonym przedstawicielem głównym w powieści jest mądry i doświadczony wójt Suhaj, od niepamiętnych lat sprawujący niepodzielnie rządy gminy przysłopskiej i broniący w niej odwiecznych przywilejów i nadużyć zamożnych rodów osiadłych, ku oczywistej krzywdzie licznej rzeszy biedniejszych zagrodników i komorników bezrolnych. Z drugiej strony występuje do walki duch młody, buntowniczy i gorący, nadmiarem sił bogaty, płonący, jak pochodnia, współczuciem i miłością dla całej rzeszy wyzyskiwanych, bezrolnych i bezdomnych, a nienawiścią dla niesprawiedliwości, nędzy i gwałtu, które w dawnym porządku stały się już niemal regułą. Walka, skomplikowana miłością głównego bohatera powieści, burzyciela form starych, szlachetnego zapaleńca Rakoczego do Suhajowej córki, powabnej i namiętnej, lecz praktycznej zarazem, bardzo praktycznej Hanki, umotywowana została w powieści nietylko buntowniczo - marzycielską naturą młodego reformatora, lecz i pewnem wykształceniem szkolnem, otrzymanem przezeń za życia matki, wrodzonem zamiłowaniem do książek i wreszcie obfitą domieszką w jego żyłach gorącej krwi południowej. Areną starć między żądnym zmian, spragnionym szczęścia powszechnego Rakoczym a jego zakrzepłem w formach przeżytych otoczeniem — jest tylko skromna gmina podkarpacka, lecz równie dobrze walka toczyć by się mogła w zmienionych nieco warunkach na obszarze kraju lub świata...

Nad szczegółami tej walki, gdzie zrazu chodzi o udział całej gromady, a nie wyłącznie uprzywilejowanych głów rodu, w obradach gminnych, w wyznaczaniu reprezentantów, mających uczestniczyć w wyborze posłów itp., zatrzymywać się tu nie będziemy. Zakres jej rozszerza się stopniowo, a wynik łatwy do przewidzenia. Gdy Rakoczy po paromiesięcznem obcowaniu sam na sam z dziką naturą górską, pod której wpływem duch jego spotężniał i wyolbrzymiał, powrócił znowu do ludzi, z sercem, płonącem miłością dawną, i—niepomny krzywd, doznanych od wszystkich prawie, począwszy od siostry rodzonej, niepomny bólu osobistego, który duszą jego zatargać musiał na wieść o zaręczynach Hanki z „wolim łbem“ Cichańskim,— roztacza przed ojcami rodów wymarzony w ciągu długich dni i nocy bezsennych plan zupełnego przetworzenia stosunków gminy, oparty na wspólnej pracy i wspólnem posiadaniu ziemi, w odpowiedzi na słowa, żarem miłości tchnące, skąpane, zda się, w krwi serdecznej, słyszy z ust Suhaja, którego przecież za najmądrzejszego we wsi uważał, najpierw obelgę i szyderstwo, a potem okrzyk okropny: „wiązać go!“ On z otwartością szczerą do nich przyszedł, chciał im dać duszę całą, bogatą, niósł im życie i szczęście, szedł do nich nietylko z tym gotowym, a samodzielnie wydumanym planem reformy, lecz z tłumną ciżbą pragnień, których wysłowić niepodobna, z nienazwanemi mocami, którym czynów zamało na ziemi, a oni — w odpowiedzi na to wszystko — rzucili się ku niemu z pięściami. „Niech świata nie bontuje, niech nie robi mątu...“ Niewiele wymienić mógłbym utworów, gdzie ta walka wyższej jednostki z bezmyślnym, nieświadomym ciemnoty swojej tłumem przedstawiona została z taką wybuchową siłą i plastyką, jak w tej powieści, pisanej, zda się, pod bezpośrednim wpływem wulkanicznych wybuchów wiecznie młodej, wiecznie zapał budzącej „Ody do młodości,“ która po raz pierwszy napiętnowała u nas słowem potężnem ciasny egoizm tłumu, widzącego takie tylko świata koło, „jakie tępemi zakreśla oczy,“ i stała się wspaniałym hymnem na cześć najszczytniejszych porywów duchów młodych i pełnych zapału.

Ale bardziej może jeszcze od samego przebiegu walki, zakończonej wyjazdem ostatniego z Rakoczych do Siedmiogrodu— na zarobek, zasługuje w tej powieści na uwagę strona psychologiczna utworu, a zwłaszcza stopniowe rozrastanie się duszy bohatera głównego, pełnego miłości, zakreślającej coraz szersze kręgi,—w przeciwstawieniu właśnie do otoczenia najbliższego, złożonego przeważnie z ludzi, zajętych pracą i kłopotami codziennymi, nie mówiących i nie myślących nigdy o rzeczach, niewidocznych dla oka, nie mających nawet ochoty spojrzeć na niebo, „czy podparte czem, czy samo na powietrzu wisi.“ Zapewne — górali takich, jak Rakoczy, nie widział prawdopodobnie autor wśród otoczenia swojego, postać tę wyidealizował niewątpliwie i wlał w nią niemało zapału, marzeń i dum serdecznych z własnej swej duszy, dzieląc się z bohaterem swoim skarbami, nagromadzonymi w niej, niby w jakiemś zaklętem królestwie. Czyż jednak powieść malować ma zawsze tylko świat realny, nie zbaczając na krok jeden od utartej ścieżki powszedniości? Postaci idealne, wyśnione w najtajniejszych snach wyobraźni, nie od dziś przecież mają w niej chyba prawo obywatelstwa.

Śmieszne są skądinąd wymagania jednego z kacyków naszej krytyki, który dziwi się, że Rakoczy nie dobrał sobie kilkunastu towarzyszów pracy i nie rozpoczął — może przy pomocy odpowiednich broszurek — systematycznej działalności w gminie, zamiast próbować naprożno wzruszyć strupieszałe mumie żarem zapału i miłości. Alež autor nie chciał bynajmniej w tej postaci przedstawić urzędowego działacza społecznego, rzecznika tej lub owej doktryny, lecz płomiennego apostoła prawdy, do której sam Rakoczy w rozwoju swoim dochodzi i w której potęgę tak wierzy, że gotów nią Tatry z miejsc swoich poruszać, dopóki zapału tego nie wystudzą — lodowaty chłód, bezmyślna obojętność i złość pozioma dusz ludzkich.

Rzecz charakterystyczna, że miłość jego, zataczając koła bardzo szerokie, spoczęła najpierw na wyidealizowanej, wymarzonej postaci kobiecej. Niczego i nikogo nie pragnie tak chwilami, jeno serca jednego z pośród ludzi, któreby za nim szło w płomienne życie. I zdaje mu się przez czas jakiś, że serce takie znalazł właśnie w Hance Suhajównie, a choć ona niechętnie słucha jego rojeń, choć lubi przedewszystkiem tulić się namiętnie do niego, a jeśli mówi, to o podziale roli lub wypłacie, on widzi w niej długo główną powiernicę swych marzeń i myśli najgłębszych i pragnie tylko, aby wierzyła w niego, bo mu „trza koniecznie, aby ktoś w niego uwierzył, choć jedna duszyczka...“ Miłość Rakoczego rozszerza się prędko i pogłębia. Zrozumiał, że nie ludzi nawet miłuje, ale ich biedę, jakąś smętną, załzawioną, włóczącą się po ugorach na wietrze, że nie czuje nienawiści do nikogo na świecie, ale całą duszą walczyłby z niesprawiedliwością, kędy się jeno gnieździ— w sercach ludzkich czy na obłokach. Uczucie to zatoczyło z czasem, zwłaszcza podczas długich miesięcy, spędzonych wśród lasu przy pracy, jeszcze szersze kręgi, ogarniając nie ludzi tylko i ich nędzę, lecz cierpienia i bóle wszelkiej istoty żyjącej. Coraz częściej stawać mu zaczęły przed oczyma „chaty opuszczone, które wiatr jesienny rozwala, gniazda nadbrzeżne, które woda topi, i gniazda leśne, które deszcz zalewa, krzycząca rozpacz ptaków, którym pisklęta poginęły, i niema rozpacz matek, które biegną po nad wodę, obłędem porywane — cała ta procesya chat bezludnych i ludzi bezdomnych, nad którymi powietrzem leci płacz żałosny z rozwianymi włosami, jak płomień na wietrze, a na ziemi, na roli, w przybróżdzie głębokiej, wije się, jak wąż raniony, wściekła niemoc ludzka... Wszystka nędza rozpaczna tych padolnych stworzeń zachodziła mu chmurą przed oczy i stawała obrazem krzyczącym przed jego myślą rozpłakaną.“

Lecz ani takie obrazy, ani widok urwiska, nad którem stał w oczach Rakoczego cały umiłowany tak gorąco lud górski, nie zdołały usunąć z jego serca drogiego obrazu Hanusi. Ją uważał za swą współdziałaczkę najpierwszą, o ramię jej wsparty, gotów był stanąć do walki z całą nędzą ziemi. To też w literaturze powieściowej niewiele mamy scen, równie gorzkich i smutnych, jak ta, jedna z ostatnich w powieści Orkana, gdy bohater jej, pod wpły-

wem brutalnych, niemiłosiernych słów ukochanej, rozbudził się nagle ze snu czarownego, gdy wymarzona przezeń postać oddzieliła się zwolna od tej, którą miał przed sobą, odbiła się mgłą na ścianie i znikła, raczej wróciła do jego pamięci. Przed nim stała tylko Hanka, zwyczajna Hanusia, więc rozśmiał się tak szeroko ze swej pomyłki, że aż mała Zosia z izdebki przybiegła patrzeć, co się stało, a Hanka już naprawdę z trwogą pomyślała, że Franek zwariował...

Na tem już przerwać musimy. Słówkiem tylko zwrócimy jeszcze uwagę na jedną z ostatnich scen tomu pierwszego, na to nieskończone piekło krzywd ludzkich, idących się skarżyć do sądu, które zobaczył i Franek Rakoczy, gdy chciał praw swoich dochodzić, a zobaczywszy— uciekł na długo od ludzi i wynajął się do ścinania uboczy leśnej wśród dzikiego pustkowia górskiego.

Te i tym podobne sceny — z takim np. opisem odpustu wiejskiego na czele, silne odczucie przyrody górskiej, a silniejsze jeszcze — nędz i krzywd ludzkich, wyborna charakterystyka pełnej życia galeryi występujących w utworze postaci, język wreszcie bogaty, malowniczy, świeży, pełen pięknych porównań i przenośni, zaczerpniętych bezpośrednio z obfitego skarbca mowy ludowej — wszystko to czyni z nowej powieści Orkana wspaniały obraz życia zbiorowego oraz indywidualnego rozwoju wyższej nad tłum jednostki, obraz, pełen poezyi i siły, mogący stanąć w jednym szeregu z najlepszymi, jakie wyrosły w ostatnim lat dziesiątku na pokrytej młodą a niezwykle bujną zielenią niwie polskiej literatury powieściowej.

Wł. Bukowiński.

Notatki literackie i artystyczne.

— Ellis Ethelmer: *Skąd się wziął twój braciszek?*, spolszczyła R. Centnerszwerowa. Warszawa, 1903.

Społeczeństwo nasze nieustannie jeszcze tkwi po same uszy w konwenansie i fałszu, przeto wszystko, co walczy z tem złem, zasługuje na poparcie. Do takich objawów musimy zaliczyć wymienioną w nagłówku książeczkę, która powinna się znaleźć w rękach każdej rozumnej i uczciwej matki, pragnącej uwolnić swoje dziecko od niebezpieczeństwa, jakiem mu grozi nierozumienie najprostszych i najpospolitszych objawów życiowych, narzucających się uwadze bardzo wcześnie. Książeczka jest oparta na danych naukowych, a mimo to napisana bardzo przystępnie. Niejedna matka znajdzie tu wskazówkę, jak wyjść z zakłopotania, w jakie ją wprawia niejednokrotnie pytanie dziecka, najniedorzeczniej zaspakajane zazwyczaj opowieścią o bocianie, której następstwem jest utrata zaufania do matki i szukanie wyjaśnienia niepewności w źródłach mętnych i trujących.

SPRAWY EKONOMICZNE

Wolny handel czy konkurencya?

W ostatnim zeszycie kwartalnika londyńskiego, *The Economic Review*, znajdujemy artykuł fabrykanta G. Bynga, noszący tytuł: „Naturalny wynik wolnego handlu," z którym choć w streszczeniu warto się dziś zapoznać, wobec wskrzeszonej przez Chamberlaina idei protekcyonizmu. Autor jego twierdzi, że naturalnym wynikiem wolnego handlu jest upadek przemysłu angielskiego.

Odwołanie praw zbożowych nastąpiło w roku 1846, lecz skutki wolnego handlu dały się odczuć wyraźnie dopiero około 1875 r., ponieważ inne narody przemysłowe nie mogły skorzystać zaraz z nowych okoliczności, nie były bowiem dostatecznie do nich przygotowane. Autor ubolewa nad tem, że upadek rolnictwa angielskiego w początkach ósmego dziesiątka lat zeszłego wieku nie otworzył oczu na złe skutki wolnego handlu. Niepodoba mu się, że naród gdzieindziej szuka przyczyny złego i że rząd zdecydował się zaproponować wykup ziemi od landlordów i oddania jej farmerom, tj. uprawiaczom, którzy powinni być jej wyłącznymi posiadaczami.

Jednym z najdotkliwszych dla Anglii skutków wolnego handlu ma być okrętowy trust Morgana, zagrażający przeważnie Anglii na morzu; w dzisiejszych warunkach niema sposobu zwalczenia tego trustu, ponieważ rosnący z każdym rokiem import z Ameryki sprawia, że okręty amerykańskie mają coraz więcej towarów do przewożenia, angielskie zaś coraz mniej. Z tego jednakże należałoby raczej wyciągnąć wniosek, że trzeba dążyć do obalenia trustów amerykańskich, zamiast stwarzać u siebie takie same monopole. Ponieważ import angielski wzrasta po nad eksport, przeto rzecz jasna, że coraz więcej gotówki musi odpływać z Anglii, a kraj z wierzyciela, jakim był do tej pory, staje się dłużnikiem innych narodów. Jaka jest na to rada? Niektórzy twierdzą, że przy systemie ceł ochronnych import by się zmniejszył, ale to samo stałoby się z eksportem, czyli że korzyści nie byłoby żadnej. Tymczasem Byng stara się wykazać, że to oczywisty błąd rozumowania, że nawet eksport stanowczo by się powiększył.

Autor domaga się, aby nie nakładać ceł na materyał surowy, którego przemysł angielski potrzebuje do produkcyi. Następnie zaś zbija twierdzenie, jakoby cła ochronne podnosiły koszty produkcyi, ponieważ — powiada Bang — fabrykant cła nie opłaca, gdyż dochód z ceł, idący do skarbony rządowej, pozwala na zmniejszenie podatków i różne ulgi, więc nadwyżkę opłaca producent obcy. Rozumowanie to przemilcza fakt, że przy cłach ochronnych producent kraju wywożącego, aby wytrzymać współzawodnictwo, obniża koszty produkcyi, a przedewszystkiem obcina płace robotników, którzy są spożywcami; fabrykant zaś kraju wwożącego, uwolniony od konkurencyi, podnosi ceny do wysokości ceł, łupiąc spożywców, którymi są znowu miliony pracujących.

Autor wykazuje dalej, iż zmniejszona produkcya staje się stopniowo coraz droższa, bo czem więcej się produkuje, tem proces wytwarzania jest tańszy. Według Bynga, dzisiejszy fabrykant powinien się pytać nie o to: „Ile będzie kosztować praca i materyał?", lecz o to: „Czy będę w możności wytwarzać w tak wielkich ilościach, abym zdołał osiągnąć jak najtańszą produkcyę?" Jak najtańsza produkcya, jak największej ilości towarów w celu opanowania rynku światowego, oto jedyna myśl, zaprzątająca umysł nowożytnego fabrykanta.

Czem większy jest zbyt na towary, tem pewniejsza jest wielka produkcya i taniość towarów. Ameryka i Niemcy, jako kraje protekcyjne, mają zapewniony nietylko rynek domowy, ale i angielski, hołdujący zasadzie wolnego handlu, a więc posiadają warunki większej produkcyi i mogą wytwarzać taniej.

Twierdzenie zwolenników wolnego handlu, iż producentów jest niewielu i że należy ich poświęcić dla dobra milionów spożywców, zwalcza autor dowodzeniem, że nie chodzi tu wcale o garstkę fabrykantów i kapitalistów przemysłowych, lecz o całe gałęzie przemysłu i handlu, dające zarobek milionom robotników. Gdy miliony pracujące stracą zarobek, nie będą w możności nabywać nawet tanich, importowanych towarów i ogólne zubożenie kraju stanie się nieuniknione. Zwolennicy wolnego handlu zapominają—mówi on dalej— o tem, że robotnicy fabryczni są przedewszystkiem producentami, a potem dopiero konsumentami, że więc ochrona przemysłu wychodzi na ich korzyść. Takby istotnie być powinno, lecz kapitaliści potrafią wyzyskać każdą korzystną konjunkturę i dlatego to cła ochronne nic dobrego spożywcom nie przynoszą, jak tego dowodzą fakty, ujawnione przy rozwoju trustów amerykańskich. Anglia, jako kraj, jest wielkim kapitalistą, który zdołał nagromadzić wielkie bogactwa i dlatego może przez pewien czas być jedynie albo wyłącznie spożywcą, wskutek czego zasada wolnego handlu i możliwie największej taniości wszelkich towarów posiada zwolenników. Gdy jednak te nagromadzone zasoby się wyczerpią, Anglia będzie zmuszona powrócić do systemu ceł ochronnych, aby znowu zdobyć możność produkowania i współzawodniczenia z innymi.

Ponieważ żaden kraj nie wytwarza wszystkich rodzajów towarów, przeto zwolennicy wolnego handlu na utyskiwania fabrykantów i kapitalistów odpowiadają, że należy wycofywać się z tych gałęzi produkcyi, w których niepodobna wytrzymać konkurencyi z innymi krajami i zabrać się do nowych jeszcze niewyzyskanych. Ale ta rada nie podoba się autorowi artykułu gdyż zmusza kapitalistę do wielkich wydatków na przekształcenie zakładów fabrycznych, nieprzystosowanych do nowych potrzeb. A w ten sposób nietylko upadają całe gałęzie dawniej kwitnącego przemysłu, ale i możność czynienia postępu i wynalazków oraz ulepszeń, ponieważ zanika w kraju pole do ich stosowania. W ten sposób idzie na marne całe wykształcenie fachowe, zdobywane z wielkim wysiłkiem pieniędzy i pracy.

Artykuł swój kończy p. Byng ustępem broniącym trustów, których rozwoju życzy sobie w Anglii. Twierdzi on, że istnienie krajów, hołdujących zasadom wolnego handlu, wywołuje powstanie trustów w krajach protekcyjnych, że więc zwolennicy wolnego handlu w Anglii przyczyniają się do powstania i rozwoju trustów w Ameryce i poddają własny naród pod ich jarzmo. Kończy wezwaniem narodu angielskiego do zaprowadzenia ceł ochronnych i umożliwienia trustów, jako jedynego ratunku w walce konkurencyjnej z Niemcami i Ameryką.

NA MARGINESIE.

— Z Pittsburga dochodzi wiadomość, że syndykat kapitalistów tamtejszych wykupił za 2 i pół miliona dolarów całe terytorium kolonii „Economy," 2,600 akrów. W ten sposób kończy się historya jednej z najstarszych i najdłużej żyjących kolonij komunistycznych. Założył ją w r. 1803 szwabski chłop, Jerzy Rapp, z 700 towarzyszami, którzy szli za nim w imię zasad chrześciańskiej wspólności i braterstwa. Wszyscy złożyli, co mieli, kupili na własność wspólną grunta w hrabstwie Lycoming w Pensylwanii i zaczęli gospodarować bardzo sprawnie, zaspakajając z owoców wspólnej, zorganizowanej pracy potrzeby wszystkich członków gromady, nie wyłączając starców, chorych, wogóle — do pracy niezdolnych. W pierwszym roku wykarczowali pod uprawę 150 akrów, zbudowali do 150

chat drewnianych (było ich 121 rodzin), kościół, szkołę, śpichrz, kilka warsztatów; w następnym roku wykarczowali już 400 akrów nowych, założyli tartak, garbarnię, młyn, magazyn towarów, winnicę itd. W r. 1814, gdy postanowili przenieść się gdzieindziej, wartość, nadana ziemi przez ich pracę, była już tak wielka, że sprzedali kolonię za 100,000 dolarów. Osiedlili się następnie w dolinie Wabash, hrabstwie Posey w Indyanie, na 30,000 akrów ziemi urodzajnej, ale błotnistej; po dziesięciu latach tak ją osuszyli i uporządkowali, że sprzedali znów ową kolonię za 150,000 dolarów słynnemu Robertowi Owenowi, który tu założył swoją „New Harmony." Zwolennicy zaś Jerzego Rappa przenieśli się do Pensylwanii i o 18 mil od Pittsburga kupili znów grunta, nazywając swą nową siedzibą „Economy." Karol Bernard, książę sasko-wejmarski, syn słynnego protektora nauk, Karola Augusta, odbył podróż po Ameryce Północnej w latach 1825—26 i w wydanym pamiętniku opisał wrażenia, jakie na nim zrobiła kolonia Rappa. Panowała tam wielka czynność przy zupełnej harmonii. Kolonia stawiała sobie za cel zaspakajanie wszystkich swych potrzeb, więc były w niej i warsztaty mechaniczne, przędzalnicze i tkackie; ale na maszynach — zupełnie jak w ideale Zoli (*Travail*) — stały wazony ze świeżymi kwiatami, a w pauzach śpiewały chóry dziewcząt. W r. 1875 ponownie opisał kolonię Karol Nordhoff w dziele swem o komunistycznych towarzystwach Ameryki Północnej. Znaczne w niej zaszły zmiany. Ilość rzeczywistych członków spadła do 110, a przy nich pracowało już przeszło stu robotników najemnych, do kolonii nienależących, niemających w niej praw! Członków nie przybywało; dawni wymierali; ostatnio przed samą sprzedażą pozostało ich tylko sześciu, a na ich czele John S. Duss. Ci zdecydowali się na sprzedaż i dzielą się olbrzymią sumą kupna! — Koniec utopii...

KRONIKA.

Wiadomości urzędowe. Ogłoszone zostało następujące rozporządzenie General-Gubernatora warszawskiego: „Na zasadzie Najwyżej zatwierdzonej w dniu 21 marca r. b. uchwały komitetu ministrów o przedłużeniu na lat trzy prawa, nadanego general-gubernatorowi warszawskiemu, co do wydawania w obrębie powierzonego mu kraju postanowień obowiązujących w sprawach, dotyczących środków zapobiegawczych przeciw gwałceniu spokoju publicznego i bezpieczeństwa państwowego, — postanawiam: 1) Winni noszenia przy sobie noży, po za wywołana wymaganiami ich rzemiosła lub zajęcia koniecznością, i używania ich w bójkach, kłótniach i innych rozprawach osobistych, podlegają w trybie administracyjnym karze do 500 rb., lub aresztowi do 3 miesięcy, niezależnie od tego, jaki tok nadany będzie dochodzeniu sądowemu z powodu zadanych uszkodzeń cielesnych; 2) Postanowienie to stosuje się do całej Warszawy, oraz wszystkich gubernij kraju Nadwiślańskiego i wchodzi w życie z d. 15 (28) czerwca r. b.; 3) Do rozstrzygania tych spraw upoważniam naczelników gubernij kraju Nadwiślańskiego i oberpolicmajstra warszawskiego."

— Za niezastosowanie się do obowiązujących przepisów o ochronie wzmocnionej i udział w manifestacyach ulicznych d. 10 maja r. b., gubernator bakiński skazał 47 osób na areszt policyjny od 3 tygodni do 3 miesięcy. (*Kazbek*).

Wiadomości społeczne. Korespondent *Warsz. Dn.* z Petersburga donosi, iż senat dał wyjaśnienie zasadnicze, iż żydzi przebywający nieprawnie po za linią swej osiadłości, lub też, wbrew przepisom z r. 1882 i 1887, po za granicami miast i miasteczek w obrębie swej osiadłości: 1) niezwłocznie po stwierdzeniu tego wyprawieni być mają do miejsca stałego pobytu środkami policyjnymi, bez zastosowywania do nich art. 29 ust. o karach i 2) do odpowiedzialności sądowej są pociągani po wysiedleniu na miejscu stałego ich pobytu, a nie tam, gdzie osiedlili się bezprawnie, na zasadzie art. 61 i 63 ust. o karach, tj. wówczas, gdy stwierdzone będą cechy przestępstwa, przewidziane tymi artykułami.

— W sądzie pokoju w Warszawie, toczyła się sprawa przeciw studentowi Politechniki warszawskiej, p. Arturowi Chojeckiemu, o zakłócenie spokoju publicznego w teatrze podczas przedstawiania sztuki Palińskiego p. t. „W odmęcie" P. Ch. niezadowolony ze sztuki zawołał: „brawo Ciniselli" i gwizdnął w stronę sceny. Sędzia pokoju nie dopatrzył w tym czynie przekroczenia i wydał wyrok uniewinniający.

— Przy ministeryum spraw wewnętrznych utworzona będzie komisya, która zajmie się opracowaniem sprawy patronatów rzemieślniczych Celem tych patronatów będzie: urządzanie i utrzymywanie internatów dla małoletnich uczniów rzemieślniczych i dostarczenie im rozrywek rozumnych; troska o dalsze losy uczniów rzemieślniczych, odebranych od majstrów z rozporządzenia władz administracyjnych; okazywanie pomocy tej instytucyi, nad którą istnieć będzie wyższy nadzór nad położeniem uczniów rzemieślniczych i urządzanie dodatkowych klas ogólno-kształcących dla uczniów małoletnich itp. (*Warsz. Dn.*).

— W Rzymie zawiązało się staraniem przebywających tam rodaków „Polskie Towarzystwo dobroczynności."

Z Poznańskiego. Prezes policyi zabronił urządzania obchodu wianków w Poznaniu.

— *Nationale lib. Corresp* donosi, że rząd pruski zamierza wyznaczyć w budżecie przyszłorocznym znaczne sumy na szkoły górnośląskie w celu wzmocnienia niemczyzny w tej dzielnicy polskiej.

— *Wielkopolanin* dowiaduje się z pewnego źródła, że wyszło urzędowe, poufne rozporządzenie do landratów, ażeby pod pilny nadzór wzięli działalność polskich spółek i banków parcelacyjnych. Władze administracyjne mają corocznie zdawać sprawę i przedstawiać propozycye najskuteczniejszego zapobiegania usiłowaniom spółek.

Szkoły i wychowanie. Wzmocnione zostały inspekcye w uniwersytetach: warszawskim i jurjewskim, oraz w szkołach weterynaryjnych: kazańskiej i charkowskiej.

— Zmarły w Żytomierzu Józef Niżycki, cały swój majątek, wynoszący około 70 tys. rb., zapisał na stypendya dla młodzieży polskiej, wyznania katolickiego, kształcącej się w gimnazyum żytomierskiem, oraz uniwersytetach: kijowskim, warszawskim, lwowskim i krakowskim.

— Ministeryum spraw wewnętrznych pozwoliło magistratowi warszawskiemu na zwiększenie o 15,150 rb. sumy, przeznaczanej corocznie na pensye nauczycieli szkół początkowych, chrześciańskich, męzkich i żeńskich.

— Ministeryum oświaty pozwoliło na skrócenie godziny wykładowej do 50 minut, nadmieniając, że w każdym zakładzie naukowym decydować o tej zmianie mają rady pedagogiczne za zgodą kuratora okręgu warszawskiego.

— Wydane zostało wyjaśnienie że osoby, posiadające świadectwa nauczycieli szkół elementarnych, mogą zajmować posady pomocników gospodarzy klasowych w średnich zakładach naukowych.

— W Akademii wojskowo-lekarskiej w Petersburgu powstał projekt dopuszczania kobiet-lekarzy do egzaminów na stopień doktora medycyny.

— W Zurichu założone zostało główne Biuro informacyjne, którego zadaniem będzie udzielanie rad i wskazówek w sprawie studyów we wszystkich zakładach naukowych za granicą. Adres: Zürich Universitätstrasse, 47.

Ze sztuki. Komitet Tow. Zach. Szt. Pięknych w Królestwie Polskiem, podaje do wiadomości osób interesowanych, że wakuje stypendyum z zapisu ś. p. Franciszka Korwin-Szymanowskiego, w wysokości rubli 150 rocznie, przeznaczone dla młodzieńca wyznania rzymsko-katolickiego, urodzonego w tutejszym kraju, ubogiego i pragnącego wydoskonalić się w sztukach pięknych. Stypendyum przyznane będzie temu ze współubiegających się, kto pod okiem delegowanych w tym celu członków komitetu Towarzystwa najlepiej wykona prace na temat przez komitet wyznaczony. Otrzymujący stypendyum może się kształcić w kraju lub za granicą; ze współubiegających się Szymanowscy herbu „Ślepowron" przydomku „Korwin," lub Kossowscy z Głogowa mieć będą przed innymi pierwszeństwo. Pragnący ubiegać się o stypendyum winni zgłosić się z podaniami na papierze bez stępla do komitetu Tow. Zachęty Sztuk Pięknych najpóźniej do dnia 15 sierpnia r. b. z załączeniem metryki urodzenia i chrztu, świadectwa ubóstwa i moralnego prowadzenia, Szymanowscy zaś herbu „Ślepowron" przydomku „Korwin," złożą oprócz tego dowód legitymacyi swego pochodzenia.

— Staraniem wydziału szpitalnego Towarzystwa hygienicznego, ogłoszony zostaje konkurs na plan szpitala wiejskiego na 10 łóżek, według programu, opracowanego przez delegacyę architektoniczną. Nagród wyznaczono dwie: 125 rb. i 75 rb. za dwa najlepsze projekty. Termin ostateczny nadsyłania prac do kancelaryi Tow. hygienicznego oznaczono na d. 1 grudnia r. b. Po za tem wydział pozostawił sobie prawo kupienia projektów nienagrodzonych po 50 rb. za sztukę.

— W Krakowie został odsłonięty pomnik Antoniego Kurzawy, artysty rzeźbiarza.

— W Chartres, we Francyi, wzniesiono pomnik Pasteurowi.

Sprawy ekonomiczne. W sprawie przekształcenia syndykatu rolników warszawskich na Towarzystwo rolnicze odbyło się zebranie ogólne, na którem ostatecznie projekt rozszerzania w ten sposób ustawy syndykatu zatwierdzono. Przekształcenie to odbyć się ma na zasadach następujących, opracowanych przez delegacyę: 1) obecny syndykat zamieniony zostanie na oddział handlowy Towarzystwa rolniczego stopniowo w ciągu lat dwóch od chwili utworzenia Towarzystwa; 2) oddział handlowy rządzić się będzie ustawa obecnego stowarzyszenia; 3) członkami oddziału handlowego mogą być tylko członkowie Towarzystwa rolniczego; 4) członkowie syndykatu, którzy nie zapiszą się po upływie lat 2 do nowozawiązanego oddziału, będą mogli otrzymać udziały swe z powrotem; 5) z obrotów oddziału wyznaczone ma być corocznie niemniej jak 1% na cele Towarzystwa rolniczego, stosownie do uchwały zebrania ogólnego; 6) członkowie stowarzyszenia dotychczasowego przyjęci zostają na członków Towarzystwa rolniczego bez balotowania.

— Misteryum rolnictwa i dóbr państwa wyasygnowało kijowskiemu Towarzystwu rolniczemu 10,000 rb., jako zapomogę na urządzenie w r. 1904 wystawy rolniczo-przemysłowej.

— *Hacefira* donosi, że krawcy żydowscy w Warszawie starają się o założenie związku w celu zwalczania wyzysku, jakiego dopuszczają się względem nich kupcy, handlujący ubraniami. Pierwszym krokiem było utworzenie spółki, która w b. miesiącu otwiera sklep wspólny. Sprzedawać w nim będą wyroby własne, tudzież przybory, potrzebne krawcom, po nizkiej cenie i na kredyt. Także umowę zawarli krawaciarze na zasadach pomocy wzajemnej.

— Ministeryum skarbu nadało wyższej władzy policyjnej prawo zezwalania na tworzenia związków (arteli).

— Wystawę wszechsłowiańską, która miała się odbyć w roku przyszłym, odłożono do czasu nieokreślonego.

Koleje i komunikacye. Wprowadzono bezpośrednią komunikacyę kolejową między Ciechocinkiem a Toruniem.

— Otworzona została komunikacya telefoniczna między Anglią a Belgią.

Katastrofy. W arsenale w Woolwich, skutkiem wybuchu granatu liditowego, 15 robotników zostało zabitych, kilkunastu ciężko ranionych, a kilku, rozszarpanych na drobne części, nie odnaleziono wśród gruzów budynku.

Zmarli. Władysław Deysenberg, b. docent uniwersytetu Jagiellońskiego, doktór praw i filozofii, we Lwowie.

— Prof. dr. Gussenbauer, słynny chirurg, rektor uniwersytetu wiedeńskiego.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym początek dzieła J. Simmel'a p. t. **Filozofia pieniądza**, w przekładzie Leo Belmonta.

OGŁOSZENIA.

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. Rb. 1 k. 50 (wyczerpany)
Tom II: Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. Rb. 1 k. 20 (wyczerpany).
Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. Rb. 1 kop. 20.
Tom IV: Piękna, Aspazya. Rb. 1 kop. 50.
Tom V: Trylogia Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. Rb. 1 kop. 50.
Tom VI: Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen Za maską, Dachówka. Rb. 1 kop. 20 (wyczerpany).
Tom VII: Duchy, trzy części. Rb. 1 kop. 50.
Do nabycia w Administracyi *Prawdy.*

Wyszedł z druku

„Poradnik dla Samouków," cz. V.

p. t.

Świat i Człowiek

Wykład głównych zagadnień wiedzy w świetle teoryi rozwoju

(Książka do czytania dla samouków).

TREŚĆ: Wszechświat i jego rozwój, S. Kramsztyka.
Rozwój ziemi, W. Nałkowskiego.
Rozwój życia organicznego, J. Nusbauma.
Genealogia zwierząt, I. Eismonda.
Rozwój antropologiczny człowieka, L. Krzywickiego.
Rozwój kultury, L. Krzywickiego.

Warszawa 1903, str. 558, ze 169 ilustracyami w tekście i 3-ma tablicami kolorow.

Cena 2 rub.

Skład główny w Księgarni Naukowej, Krucza 44.

Wyszło w czterech odzielnych częściach dołączane w dodatku kwartalnym do „PRAWDY" dzieło p. t.:

Wiek XIX

Zagadnienia moralne: A. Darlu: *Klasyfikacya współczesnych idei moralnych.* — P. L—e: *Rodowód idei sprawiedliwości i dobra.*— G. Belot: *Zbytek.* — H. Höffding: *Rodzina.*

Cena kop. 60, z przesyłką rekomend. 75 kop.

Wiek cudów ALFREDA WALLACE'A (tłom. z angielskiego)
Cena 90 k., z przesyłką rekom. 1 rb. 10 k.

Ekonomia i Socyologia w opracowaniu Dr. S. GRABSKIEGO i Dr. K. KRAUZA. Cena 60 kop., z przes. rekom. 75 k.

Historya polityczna, rys dziejów stulecia, opracowaniu H. GALLEGO. Cena 50 kop., z przesyłką rekom. 65 k.

Skład główny w Administracyi „Prawdy," Sadowa 14.

A. MAKSIMOW:

Syberya i ciężkie roboty

Winni i oskarżeni . . . . 1 rb. 20 kop.
Przestępcy polityczni i państwowi 1 rb. 20 kop.

Z przesyłką rekomendowaną 1 rb. 40 kop.

Skład w administracyi „Prawdy."

R. Bettena

Hodowla kwiatów w pokoju

z ilustracyami. Autor, znakomity ogrodnik, sam przeprowadził pokojową hodowlę roślin. praca więc jego jest oparta na doświadczeniach ścisłych. Jest przytem jasna, gruntowna i bogata we wszelkie rady praktyczne zarówno dla miłośników w mieście, jak na wsi.

Cena rb. 1 kop. 50, z presyłką rekomendowaną rb. 1 kop. 70.

Skład główny w Administracyi „Prawdy."

Wydawnictwa „Prawdy"

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rb. 3.
A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii—rb. 3.
Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka**—rb. 2.
L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne,** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rb. 3.
Huxley — Rosenthal. **Zasady fizyologii** — rb 2.
J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** — rb. 1.
H. Posnett. **Literatura porównawcza** — rb. 2.
N. Hirszband. **Byron w urywkach** — kop. 50.
K. Lewald. **Historya XIX w.,** od r. 1800—1888 — rb. 3. k. 30.
Prof. R. Falkenberg. **Historya filozofii nowożytnej,** w przekładzie W. M. Kozłowskiego — rb. 2 kop. 40.
Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana). Cena zniżona — rb. 1 k p. 50
Dr. J. Dallemagne. **Człowiek zwyrodniały** — rb. 2.
Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę** ceny

Na koszta przesyłki do każdego rubla zwykłej ceny należy dołączyć kop. 15.

Spółka Nakładowa

poleca resztującą niewielką ilość egzemplarzy:

GUMPLOWICZ L. **System socyologii** — rb. 3 kop. 30.
BRANDES JERZY. **Główne prądy literatury europejskiej XIX w.** Szkoła romantyczna we Francyi. Z portretem autora, str. 402— rs. 1 k. 50.
HEINE HENRYK. **Wybór pism.** t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne z portretem autora, str. 298 — kop. 60
— **Wybór pism.** t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jeleńty i Maryi Konopnickiej, str XIII 328 — rs. 1.
— **Wybor pism,** t. III. Księga „Legrand." Florenckie noce, w przekładzie M. Konopnickiej. Cena rb. 1.

Na przesyłkę do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Skład główny w Administracyi „Prawdy," Sadowa 14

Księgarnia Naukowa

w Warszawie, Krucza 44.

otrzymała na skład główny:

M. KOWALEWSKI. Zarys początków i rozwoju rodziny i własności. Cena r. 1.
PORADNIK DLA SAMOUKÓW. Części I, II, III i IV — Cena rb. 3,80.
" " " Część V: Swiat i człowiek — rb. 2.
L. KRZYWICKI. Kwestya rolna. Przewrót w produkcyi wiktuałów — rb. 2,50.
E. ABRAMOWSKI. Dusza i ciało — Prawo współrzędności psychofizyologicznej, rozpatrywane ze stanowiska teoryi poznania i biologii — rb. 1,50.

Wydawnictwa własne:

W. GARSZYN. Nowele — Cena rb. 1.
MULTATULI. Wybór pism, z przedmową i w przekładzie Malwiny Posner-Garfeinowej — Cena rb. 1,50.
S. POSNER. Nad otchłanią. W sprawie handlu żywym towarem — Cena 50 k
L. KRZYWICKI. Nasze potrzeby naukowe — Cena 20 kop.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Іюня 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.